

Róża z Byczych Gór – baśniowa opowieść z pogranicza lata i jesieni



ROZDZIAŁ I Dar Kozłowej Wiedźmy



W bardzo dalekim kraju, w miejscu, gdzie oddycha się powietrzem przesyconym solą wody szmaragdowego koloru, zapachem pieprzowych drzew, niesionym z gór o barwie wypalanej cegły, gdzie słońce wysusza zielen na złoto przesypujące się w rękach niczym piasek, gdzie deszcz pada tak rzadko, że każdy domek garbi się pod ciężarem dwóch okazałych beczulek na wodę, często większych niż sama chatka, żył pewien starzec parający się

od lat uprawą pieprzowych drzewek oraz aromatycznych ziół, z których tworzył własne przyprawowe mieszanki. Suszył czerwoną paprykę, mielił czarny pieprz, rozgniatał kędzierzawą miętę, uszczykiwał bazylii cynamonowej...

Na ryneczku białego miasta za Szmaragdową Wodą, gdzie wyprawiał się raz w tygodniu, wyczekiwano z niecierpliwością jego przypraw i ceniono je, ale on sam pytany o recepturę, uśmiechał się tylko i nikomu nigdy nie zdradził składu swoich mieszanek. Każde naczynie było niespodzianką i jedynie wytrawny nos mógł zgadywać, jakaż to mieszkanca czarno-żółto-zielona lub fioletowa siedzi w środku, ale nikt do końca nie był pewien rezultatu swej dedukcji, a staruszek tylko się uśmiechał, bo czy mistrz dzieli się tajemnicą swego kunsztu? Wielu podejrzewało staruszka o przyprawowe czary, ale prawda była taka, że tajemnica jego mieszanek kryła się w prostocie, którą czerpał z miejsca zamieszkania, bowiem domek starca z dachem objuczonym dwoma baryłkami na wodę stał w dolinie Szmaragdowej Wody, rzece o słonawym smaku, przecinającej świetlistą wstęgą całą okolicę i znikającej w nieznanym miejscu, opasaną łańcuchem potężnych, zwartych gór ceglanej barwy o kształcie dwóch rogów byka. Nosiły miano Byczych Gór. Miejscowi opowiadali, że kiedy w górach zawyje deszczowy wiatr, z byczych rogów lecą iskry, a te zamieniają się w sól wpadającą do rzeki. Oczywiście były to tylko ludzkie opowiadki, choć z drugiej strony Szmaragdowa Woda właśnie po deszczach nie tylko przybierała słony smak, ale też mocno pachniała solą.

Starca nazywano Przyprawnikiem, nie tylko z powodu tego, czym się zajmował, ale też dla jego pociesznej fizjonomii oraz radosnego usposobienia, staruszek był bowiem niski, a przy tym pękaty niczym naczynie, do których wsypywał swoje przyprawy, a uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Przyprawnik zajmował się też innymi rzeczami, hodował jedwabniki, z nici których wyrabiał cieniutkie i delikatne w dotyku szale o kolorze swojej ukochanej Szmaragdowej Wody, towarzyszącej mu od dzieciństwa, przez którą tysiące razy przeprowiał się do miasta, jednakże największą dumą napawał go własny owocowy sad z ogródkiem różanym. Lubił o poranku wypić herbatę pod pomarańczowym drzewkiem w towarzystwie swoich kotów, popatrzeć na morwy czy opuncje (w południe rozgrzewające się do czerwoności), pogłaskać róże.

Starzec żył według ustalonego rytmu, godził się z naturalnym porządkiem rzeczy, zresztą zajęty przyprawami, tkaniem szali, pielęgnacją sadu czy ogrodu, nie tracił czasu na jałowe rozmyślenia, żadne wydarzenie nie mogło wytrącić go z równowagi i zaburzyć biegu jego codziennego dnia, a jednak pewnego całkiem zwyczajnego poranka stała się rzecz nieprzewidywalna, która zakłóciła dotychczasowy spokój Przyprawnika, burząc jego wcześniejszą harmonię.

Przyprawnik tradycyjnie rozpoczął poranek od parzenia herbaty z rozmarynu w porcelanowym dzbanku. Kiedy stojąc pod pomarańczowym drzewkiem, przelewał herbatę do szklanki w kształcie tulipana, w dzbanku nagle urwało się ucho, gorący płyn popłynął ciemną strużką na trawę, dzbanek z resztą herbaty upadł, pękając na dwoje i o mało nie parząc ciekawskich kociąt, stałych

towarzyszy każdego herbacianego poranka. Staruszek stał oniemiały z urwanym uchem w ręce, nie zważając na wystraszone koty, nawet nie podniósł roztrzaskanego naczynia. Po chwili, wpatrując się w mokre skorupy, uświadomił sobie, że jest zupełnie sam, w jego domu nie ma żadnej ludzkiej istoty, która dzieliłaby jego zajęcia, podziwiała róże, wachała pomarańcze, próbowała aromatu ziół, rozgniatała ziarenka czerwonego lub czarnego pieprzu, kichając raz za razem...tyle lat sam...

Tego dnia starzec już nie zajął się przyprawami, czekały nań w otwartych miseczkach, a bywalcy ryneczku w białym mieście próżno wypatrywali charakterystycznej pękatej sylwetki obwieszanej barwnymi słoiczkami.

Przyprawnik spakował najdelikatniejszy szal w kolorach Szmaragdowej Wody i wsiadł do swojej małej łódeczki. Zamierzał dotrzeć do Pękniętej Skały u stóp Wędrujących Źródeł – najgłębszym i najbardziej tajemniczym miejscu Szmaragdowej Wody, gdzie kryła się wielka, choć niebezpieczna moc. W otworkach Pękniętej Skały pomieszkiwały jaskółki i nietoperze, a największą dziurę wielkości dziupli obrała sobie za siedzibę Kozłowa Wiedźma. Czarownica wszystko wiedziała i potrafiła rozwiązać każdy problem, ale ten, kto wybrał się do Kozłowej Wiedźmy po pomoc, musiał się wykazać nie tylko odwagą, ale również intuicją oraz hojnością. Wiedźma wymagała za swe usługi daru wyjątkowego, a przy tym była kapryśna i złośliwa, jeżeli uznała prezent za mało godny swej osoby, potrafiła jednym spojrzeniem chłodnych oczu strącić nieszczęśnika ze skały prosto w głęboką i bardzo słoną wodę Wędrujących Źródeł. Nieborak miał sporo szczęścia, jeżeli udało mu się w porę złapać stopni schodów zanurzonych w źródle i wydostać na brzeg, nim dopadły go chwytny paluchy Wędrujących Źródeł niczym przezroczyste węże, by wciągnąć intruza w pierwotną głębinę, albo zadowolić się przynajmniej ściągnięciem mu butów. Niejeden bosonogi śmiałek, ledwo uszedłszy z życiem, oblepiony solą, z poszarpanym odzieniem, człapał po takowej kąpieli mostkiem wciśniętym między skały Bycznych Gór, ścigany śmiechem Kozłowej Wiedźmy.



Przyprawnik nie bał się sztuczek czarownicy. Wiedział, że szal jej się spodoba, specjalnie wybrał ten najładniejszy. Staruszek był zresztą jej częstym gościem, ceniła jego przyprawy czy tkaniny, i choć do Pękniętej Skąły prowadziła krótsza droga owym mostkiem wciśniętym niczym patyk pomiędzy wysokie skały, mającym swój początek w głębi Wędrujących Źródeł, on zawsze wybierał tę wiodącą przez Szmaragdową Wodę.

Kiedy dopłynął do źródeł, Czarownica czujna niczym nocny drapieźnik już obserwowała go chmurnie z otworu wydrążonego w górze, przybrawszy znajomą wszystkim postać czarnego kozła o szarym wzroku. Starzec rozwinął szal i jakby wstęga Szmaragdowej Wody łagodna i jasna popłynęła niebem,

dodatkowo rzucił przed siebie garść aromatycznej mięty, zapachniało truskawką. Czarny Kozioł rozjaśnił spojrzenie, które z szarego zrobiło się bardziej niebieskie, wciągnął nozdrzami zapach... po czym Przyprawnik znalazł się w samym środku ciemnej dziupli, tak ciasnej, że mogły się zmieścić weń jedynie jaskółki i nietoperze, kiedy jednak nieśmiało uczynił krok naprzód, ściany dziupli samoistnie rozszerzyły się i oczom Przyprawnika ukazała się obszerna, jasna jaskinia z białymi marmurowymi kolumnami, białą pofałdowaną, miękką podłogą, źródłem wyrzeźbionym w takimże marmurze i mieniącym się na różowo.

Czarownica siedziała na rzeźbionej półce skalnej, nad źródłem, w towarzystwie jaskółek i nietoperzy. Była wielkości niewyrośniętej opuncji, pokraczna, przysadzista, małe nietoperze-karliki niczym żywe spinki drzemały w jej potarganym włosach, które nigdy nie widziały grzebienia. Młodziutki jaskółki pochowane dzióbkami w fałdach obszernych szat Czarownicy tworzyły rodzaj naszyjnika na jej szyi. Kozłowa Wiedźma była brzydka, ale w jej magnetyzującym wzroku i głosie kryło się piękno, silna wolna, władczy charakter. Obojętnie czy przybierała zwierzęcą czy ludzką postać zawsze wzbudzała respekt. Tymczasem szal wymknął się z rąk Przyprawnika, pofrunął w górę niczym ptak i wylądował miękko na ramionach Wiedźmy. Czarownica lekkim ruchem pozdejmowała z siebie jaskółki, ptaszki nawet się nie obudziły, kiedy przeniosła je wyżej na półkę skalną, po czym całą uwagę poświęciła prezentowi. Darczyńca jakby przestał istnieć. - Ciekawe – zamruczała do siebie – takich odcieni barw Szmaragdowej Wody jeszcze nie oglądałam. - Ja widziałem – wtrącił Przyprawnik – takie kolory przybiera, kiedy robi się łagodna i mało słona. - Faktycznie. I jaka delikatność – mrucała dalej czarownica, po czym wreszcie łaskawie spojrzała na gościa. - Jestem pod wrażeniem – oceniła. - No, nie stój tak – zachęciła go. - Mów, czego oczekujesz, przecież bezinteresownie nie podarowałbyś brzydkiej i starej babie tak pięknego szalu – zauważyła sarkastycznie. Ale Przyprawnik nawet nie wyczuł ironii w jej głosie. - Jestem samotny i czuję się samotny – pożalił się. - Dopiero dziś to zauważyłeś? - parsknęła czarownica. - Wcześniej nie myślałem o tym – przyznał Przyprawnik - żyłem ustalonym rytmem, mieszałem przyprawy, zbierałem pomarańcze, morwy, tkąłem szale, ale dzisiaj... - Cóż się stało? - zapytała wiedźma, choć dobrze wiedziała. - Urwało mi się ucho od dzbanka – posmutniał Przyprawnik. - I co z tego? - sarknęła wiedźma - Dzbanek był od dawna pęknięty. Nie zauważyłeś tego? - Nie – stropił się Przyprawnik. - Naprawdę? - Nie dowierzał. - Twój dzbanek był stary i wysłużony, miał pęknięte ucho i tak by się urwało prędzej czy później - wyjaśniła mu cierpliwie Wiedźma – Niestety. Zużywamy się i rozpadamy powoli, szybciej niż rzeczy. Może przy odrobinie szczęścia zamienimy się w sól, która całkiem zasoli Szmaragdową Wodę – zarechotała. - Nie przybyłem o tym rozmawiać – zniecierpliwiał się Przyprawnik, bo przypomniał sobie o ziołach czekających nań w miskach i zrobiło mu się dziwnie chłodno od wiedźmiej paplaniny. - Potrzebuję kogoś, ludzkiej istoty. - Chcesz żony? – zachichotała czarownica. - Ożenić się na starość?! - Nie – uśmiechnął się Przyprawnik. - Nie chodzi o żonę, ale nie

wiem, jak wyrazić moją prośbę – gubił się. - Dziecko? Chcesz mieć dziecko. Zanim je wychowasz, sam rozsypiesz się jak twoje przyprawy – droczyła się wiedźma, choć wszystko już odgadła. - Nie dręcz mnie czarownico – poprosił starzec – wiesz przecież, czego chcę, potrzebuję ludzkiej istoty, ludzkiego głosu, kogoś, kto podzieliłby moją samotność. Przecież dałem ci najpiękniejszy szal, jaki kiedykolwiek wyszedł z mojej ręki. - Dobrze, już dobrze – uspokoiła go Kozłowa Wiedźma i przybierając łagodniejszy ton, dodała. - W istocie. Twój dar jest wyjątkowy, największej delikatności. Odwdzięczę Ci się tym samym. Mój prezent będzie równie piękny, delikatny jak jedwabny szal, będziesz musiał bardzo dbać o niego. Proszę.

Po tych słowach ze środka różowego źródła wyłoniła się przezroczysta czarka w kształcie tulipana, przepłynęła kawałek w stronę Przyprawnika, zrobiła kilka wprawnych skoków po marmurowej posadzce niczym konik polny i wysypała mu na dłoń nasionko. Przyprawnik obejrzał je ze zdziwieniem. - Ależ to nasiono róży. Mam ich cały ogród – zdziwił się starzec. - Głupek – zeżłiła się wiedźma – milcz i słuchaj. Weźmiesz to nasionko i zasiejesz je koło swojego domu, ale w miejscu, gdzie słońce świeci tylko rankiem, posiejesz je w pierwszą noc bezchmurną, wtedy, kiedy tylko ukaże się ci się księżyc cienki jak lewy róg Byczej Góry i usłyszysz odgłos płaczu kota. - Ale którego? Mam sześć kotów, one często miauczą mi po nocach, jak to koty – wtrącił starzec. - Nie przerywaj mi – warknęła wiedźma – pierwszy płacz kota – podkreśliła – podlejesz nasionko łyżką syropu z czerwonej morwy i łyżką miodu z pomarańczowego kwiatu. A potem pójdziesz spać – zawyrokowała. - A rano, co mam robić? – dopytywał się Przyprawnik. - Rób to, co zwykle – odparła czarownica. - zaparz sobie herbaty w imbryku i wypij ją pod pomarańczowym drzewem w towarzystwie swoich kociąt. Po czym dodała cieplejszym tonem - Twój dar bardzo mnie ucieszył. Myślę, że mój też ci sprawi radość, tylko dbaj o niego, ona będzie bardzo delikatna. No, nie stercz tak z wyciągniętą łapą – ponagliła go - bierz nasionko i idź już. Muszę przymierzyć mój szal, chcę być sama. I nie zgub go po drodze, drugiego nie dam – zniecierpliwiała się Kozłowa Wiedźma. (Łatwo wpadała w złość) Nietoperze-karliki w jej włosach zawtórowały piszcząc i choć starzec był zdezorientowany, wiedział, że czasu czarownicy nie wolno marnować. I tak traktowała go uprzejmie jak na nią. - Dziękuję wiedźmo – odbaknął i szybko odwrócił się. Za plecami dobiegł go głos czarownicy. - Ach, zapomniałabym. Masz tu jeszcze prezent gratis. Ze źródła wypłynął porcelanowy czajniczek koloru pistacji. Starzec odruchowo złapał go. - Ładny – przyznał starzec. - Zostaw mi jeszcze tego przyjemnie pachnącego zioła – przypomniała sobie Kozłowa Wiedźma. - I zrób dokładnie wszystko tak, jak mówiłam. Nie zmarnuj nasionka – zakończyła złowieszczo. Starzec sychnął w jej stronę zawartością woreczka i pożegnał go zapach truskawkowej mięty.

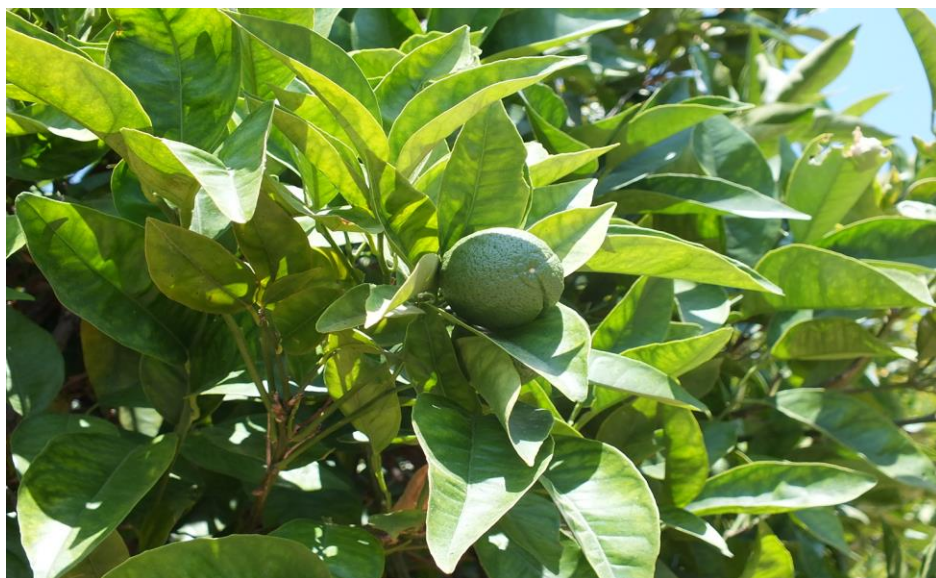
W okamgnieniu niewidzialne ręce przeniosły starca z wnętrza jaskini prosto do łódeczki, ani się obejrzał, jak płynął przez Szmaragdową Wodę, niczym w transie, ściskając w dłoni nasionko. Postąpił zgodnie ze wskazówkami Kozłowej Wiedźmy. Wybrał idealne miejsce między dwiema czerwonymi

begoniami. Kiedy tylko zjawił się księżyc o kształcie lewego rogu Byczej Góry i rozległ się koci płacz, zasiał nasionko, podlewając je morwą i miodem. Po wszystkim położył się spać, ale nie mógł zasnąć, długo przewracał się z boku na bok, nie wiedział, czy złośliwa czarownica z niego nie zakpiła. Wreszcie usnął i w efekcie obudził się później niż zazwyczaj, a przeważnie wstawał wczesnym świtem. Mimo wszystko rozpoczął dzień ustalonym rytmem, zaparzył mocniejszej herbaty tym razem z szalwii, zaniósł imbryk wraz ze szklaneczką - tulipankiem do pomarańczowego drzewka, przybiegły jego kocięta, postawił naczynia na stoliku ostrożnie, by nie przydeptać przypadkowego pajęczka, i wtedy właśnie dobiegł go czyjś dźwięczny głos. - Czy mogę dostać herbaty? Odwrócił się gwałtownie i o mało nie rozbił drugiego dzbanka. Przed nim stała dziewczę o jasnych, prawie białych włosach niczym pierzaste, spłowiałe od słońca liście palm, jasnej cerze, oczach koloru prażonych pistacji, ale ciemnych rzęsach i brwiach, dziewczyna była smukła, wysoka niczym morwa, odziana w jasne świetliste szaty, kryjące ją od stóp do głów, na nogach miała pantofelki wykończone płatkami kwiatów pomarańczy. Starzec o mało nie zemdlał, kiedy nieznajoma podeszła bliżej i usiadła swobodnie przy stoliku pod drzewkiem, uśmiechając się przy tym mile, a oczy zajaśniały jej bursztynem. (*Zmieniają odcienie jak Szmaragdowa Woda – zauważył staruszek*). Zaraz obskoczyły ją kocięta, przez gałęzie zaglądały wróbelki i pleszki. Przyprawnik nalał herbaty drżącą ręką, dziewczę zaśmiało się, powąchało zawartość szklaneczki, w tym czasie większość kotów zdążyła się wdrapać wyżej, byle tylko znaleźć się bliżej dziewczyny, młodsze były tak nachalne, że mało nie przewróciły imbryka wraz ze szklanką. Korzystając z chwilowego zamieszania staruszek pobiegł do miejsca, gdzie posadził swoje nasionko i oniemiał po raz wtóry. Między begoniami wyrosła róża o niespotykanym kolorze płatków złota i brązu, dotknął delikatnie jej jasnozielonych listków, były przesycone syropem z morwy oraz miodem, kwiat pachniał podobnie. (- *Ona nie ma kolców, w przeciwieństwie do innych moich róż – zauważył*). Ciągle zdumiony, zapomniawszy o tulipanku dla siebie, Przyprawnik wrócił pod drzewko. - Może to sen... – pomyślał. Ale dziewczyna nie zniknęła, bawiła się z kociętami pod pomarańczowym drzewkiem. Szklanka stała pusta. Ujrawszy starca uśmiechnęła się - Czuję się głodna. Nie masz może odrobiny słodkiego syropu i miodu? - zapytała. - Tego z czerwonej morwy? – wyjąkał starzec. - Chyba tak, to czerwona morwa? Nie wiedziałam – uśmiechnęła się przepaszająco. Starzec palnął się w głowę. - Zaraz, zaraz, przecież jak jesteś głodna, to zrobię śniadanie, bułeczki, jajka - Ależ nie, wystarczy morwa, chyba, że nie masz syropu? – zasmuciła się. - Skąd! Tyle morw rośnie w sadzie, a nie miałbym syropu, zaraz przyniosę z domu. - Mogę iść z tobą? – poprosiła dziewczyna. - Dobrze - pozwolił jej nadal zadziwiony. Kiedy weszli do środka wielkiej kuchni, w której czarował przyprawy, nalał dziewczynie syropu na spodeczek i dołożył owoce, ale białowłosa wypita tylko syrop, po czym zaczęła rozglądać się dookoła. Kuchnia tonęła w kolorach, woniach, kształtach wszelakich, pozornym beładzie, ale wszystko miało tu swoje miejsce: moździerz, tygielki, łyżeczki, mieszadełka, miseczki z barwną

zawartością, suszone zioła w gotowych bukietach. Na widok przypraw w otwartych naczyniach dziewczynie rozszerzyły się źrenice i rozchyliły nozdrza. Jej oczy zrobiły się jeszcze ciemniejsze (*syrop czekoladowy – zauważył starzec*). Wzięła drewnianą miseczkę pierwszą z brzegu. - Co to jest? Pięknie pachnie. - Bazylia fioletowa – odparł Przyprawnik - A to koloru purpury? - powąchała zawartość kolejnej miski. – Sumak. Ma cierpko-kwaskowy posmak. Spróbuj – zachęcił dziewczynę. Białowłosa skrzywiła się. - Wolę słodkie smaki – przyznała z uśmiechem. Wąchała i próbowała po kolei zawartość każdej z misek. Wreszcie zawyrokowała. - Zapach tej fioletowej roślinki będzie moim ulubionym, połączę ją z tym zielonym i jeszcze z tym żółtym – zawyrokowała, bawiąc się naczyniami. Wtedy on się roześmiał. - Zyskałem pomocnika. Mięta i oregano. Mieszanka dla żarłoków, na lepsze trawienie. Masz czuły nos! Skąd to wiedziałaś? Sam mieszam w ten sposób. - Nie mam pojęcia – odparła zdezorientowana i nagle onieśmielona odstawiła miseczki na swoje miejsce. – Jeszcze wielu rzeczy nie znam. Pokażesz mi wszystkie te smaki, zapachy i kolory. Będę mogła robić z tobą przyprawy? Masz takie cudowne rzeczy, tyle tu piękna i spokoju, ojciec – podkreśliła z uśmiechem, bo w tej kuchni przedziwnej, przepełnionej zapachami, kolorami poczuła się swobodnie, jakby była tu od zawsze. (- *Nazwała mnie ojcem? Czyli mam córkę – zrozumiał wreszcie starzec. I to jaką, obdarzoną nosem równie czułym jak mój*). - Mogę cię nazywać Białowłosą Różą? – Tym razem zapytał on - Nie mam lepszego imienia, posiałem cię jako kwiat róży. - Oczywiście, jestem Różą, wyrosłam dzisiaj i to mój najpiękniejszy dzień. Białowłosa, więc to będzie moje imię – ucieszyła się dziewczyna i została ze starcem wśród przypraw.



Dni w dolinie Szmaragdowej Wody płynęły Przyprawnikowi zupełnie inaczej niż w całym wcześniejszym życiu, bo teraz wszędzie towarzyszył mu śmiech Białowłosej Róży. Dziewczyna pomagała mu we wszystkich pracach, razem mieszała przyprawy, tkali szale, pielęgowali róże, zrywali dojrzałe owoce, zbierali zioła. Pojętność i ciekawość dziewczyny wobec otaczających ją rzeczy zadziwiała starca. Białowłosa zaskoczyła go mile również innymi wrodzonymi zdolnościami: zręcznymi palcami, zmysłami bezbłędnie rozróżniającymi zapachy i nazywającymi nieznane kolory. Poza tym obdarzona była cierpliwością, łagodnością, kochała drzewa, kwiaty, ptaki, najmniejsze żyjątka. Zaprzyjaźniła się nie tylko z domowymi kotami, ale z też wróbelkami czy pleszkami. Rozmawiała z drzewami pomarańczowymi, głaskała płatki róż, nawoływała motyle, pszczoły, bratała się z polnymi pajakami. Róża stale zdumiewała Przyprawnika czymś nowym, czego wcale jej nie uczył. Okazało się, że ma piękny głos, wieczorami lubiła śpiewać układane przez siebie pieśni o słońcu, niebie, deszczu, księżycu, robiła lampy z wysuszonych owoców dyni, malując je, ozdabiając, obwieszając nimi drzewka i ściany domu, nie tylko sama utkała swój pierwszy szal, ale także uszyła miękkie papucie ozdobione płatkami kwiatów, dla swoich kocich przyjaciół zrobiła domek z werandą i wszelkimi wygodami, pilnowała, by swawolne kotki nie męczyły ptaszków ani motyli.





Najbardziej jednak polubiła Szmaragdową Wodę i Bycze Góry. Starzec często odnajdywał ją stojącą na skalnym brzegu i wpatrującą się w fale wody oraz czerwieniejące w oddali rogi Byczych Gór. Oczy Białowłosej lśniły wtedy barwą ciemniejszego bursztynu. Stała zapatrzona i nieobecna, dopóki nie poczuła na plecach wieczornego chłodu albo nie usłyszała wołania Przyprawnika zaniepokojonego jej długotrwałą zadumą. Zdarzało się, że nawet jego głos nie docierał do niej.

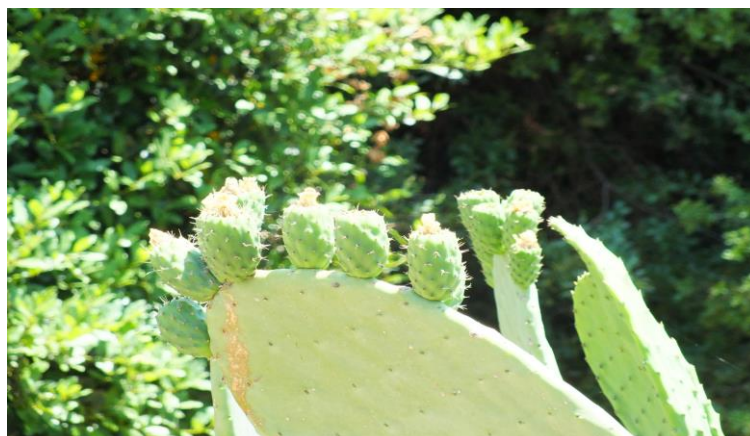
Kiedy Szmaragdowa Woda błyszczała łagodnością, oboje wyprawiali się na małe przejażdżki łódeczką, wtedy próbowali też smaku wody i w jednym się nie zgadzali, Przyprawnikowi podchodziła ona solą, ale dla Białowłosej miała zawsze słodkawy posmak i dziewczyna nie dała się przekonać, że może być inaczej.

Jak płynąca woda potrafi nieoczekiwanie z jaśniejszej barwy przybrać ciemniejszą, tak szczęśliwe dni mogą zostać zmałowane mroczniejszymi chwilami, bowiem nuta goryczy jest częścią każdej przyprawy codzienności. Tak stało się też w przypadku Przyprawnika. Zaskoczyły go wypadki, które stopniowo uświadomiły mu, jak kruchą oraz delikatną istotą jest jego przybrana córka i jak łatwo mógłby ją stracić.

Starzec przyzwyczaił się, że Białowłosa żywi się wyłącznie miodem i morwą, wyjątek robiąc dla herbaty z rozmarynu bądź szaławii, czasem lipowej, głód Róży nie groził, tych dobroci miał pod dostatkiem. Nie wiedział jednak na początek, jak obchodzić się z samą złotą-brązową różą rosnącą między begoniami. W dobrej wierze podlał ją wodą, jak inne. To się stało pewnego ciepłego poranka. Róża nie przyszła do sadu, starzec znalazł ją na tarasie pokoju urządzonego specjalnie dla niej, siedziała na dywaniku drżąc z zimna i karmiąc okruszkami zaprzyjaźnionego wróbelka. - Co ci się dzieje? - zapytał zaniepokojony Przyprawnik. - Zimno mi, jakbym w środku była cała mokra – poskarżyła się Białowłosa. Miała bardzo bladą cerę i nawet jej włosy zrobiły się bledsze, a oczy (*zjaśniały na piasek - wzdrygnął się Przyprawnik*). Starzec okrył ją ciepłą narzutą, ale minęła spora chwila, nim dziewczyna odzyskała

kolory. Starzec palnął się w czoło, zrozumiał, że róży posadzonej między begoniami nie trzeba podlewać. - Ależ ze mnie głupiec, przecież kwiat nawet pachnie tym, czym żywi się moja córka - wymamrotał. Wiedział już, że roślina o złoto-brązowym kwieciu wyrosła o cienkim księżycu i smukła, białowłosa dziewczyna tworzyły jedność. Starzał się mieć jednakowe baczenie na obydwie lecz różnie z tych wychodziło.

Następny wypadek ze słońcem przestraszył go mocniej niż sądził. Białowłosa poszła obciąć lawendę do koszyczka, zapach odurzył ją, a praca tak pochłonęła, że zapomniała o coraz mocniej świecącym słońcu, dopóki nie poczuła gorącego ognia na karku, parzące gorąco nasiliło się, aż krzyknęła z bólu i strachu. Kiedy starzec przybiegł z końca ogrodu, na jasnych włosach Róży już iskrzyły łakome paszczki ognia, a sama dziewczyna miotła się bezradnie niczym owad uwięziony w pułapce świecącej lampy. Przyprawnik zdusił ogniste pyszczki własną szatą, po czym zabrał ją przerażoną i płaczącą z bólu w chłodny cień drzew. Słońce nie zdążyło spalić jej włosów, ale na delikatnej skórze odbiło swoje gorące łapki w postaci czerwonych plam, a pod ciemnymi brwiami dziewczęcia rozpalilo istne ognisko, aż głowa pękała jej z tego pożaru. Staruszek posmarował czerwone plamy maścią z mułu Szmaragdowej Wody, a czoło cierpiącej obłożył liśćmi morwy, co przyniosło Białowłosej lekką ulgę, ale ogień żarzył się pod brwiami nadal...Białowłosa spędziła dwa dni na chłodnym tarasie, odwiedzana przez wróble, motyle, bąki, dopóki ogień całkiem nie przycichł. W tym czasie starzec obejrzał różę, miała przypieczone końcówki płatków i listków. (- *Przecież ona w ogóle nie widuje południowego słońca – mrucał zadziwiony*). Posmarował listki i płatki tą samą maścią, wygoiły się momentalnie. Kiedy Białowłosa wyzdrowiała, ustalili oboje, że dziewczyna nie może wychodzić na słońce, poza porankiem, w ciągu dnia winna była trzymać się cienia i choć wokół domu go nie brakowało, starzec postarał się, by przybyło cienistych miejsc. Zbudował specjalne daszki w ogródku różanym i sadzie, zrobił dziewczynie pleciony kapelusz z szerokim rondem, by mogła spojrzeć na słońce choć przez chwilę, ale Róża już nie szukała dziennego słońca, ciągle pamiętała ten potworny ból w głowie. Teraz wiedziała już, że nie podziela słonecznych upodobań swoich pomarańczowych drzewek czy opuncji.





Najbardziej jednak przeraziły starca robaki. Nie przewidział ich w ogóle. Pewnego razu Róża nie zjawiła się na porannej herbacie, nawet nie podniosła się z łóżka, kiedy zajął do niej, cerę miała zielonkawą, a włosy zmatowiały i poszarzały jak mysi ogonek. - Co ci jest? - zapytał zaniepokojony starzec. - Wypiłaś coś innego niż morwowy syrop, a może zjadłaś coś nieświeżego? Białowłosa tylko pokręciła głową w odpowiedzi na bezsensowne pytania. - Boli? - dociekał Przyprawnik. - Nie wiem – odparła dziewczyna niepewnie – czuję... jakby coś żywego, poruszało się we mnie. Ale nie czuję bólu. Starzec patrzył bezradnie. Nagle spod paznokcia Białowłosej wychyłała zielona liszka, dziewczyna wyciągnęła ją bardziej zdziwiona niż przerażona, za nią pojawiła się kolejna. Starzec pobiegł do róży między begoniami. Kwiat i liście zaatakowały zielone ruchliwe liszki. Pozbierał je szybko i skrupulatnie, po czym wrócił do Białowłosej, dziewczyna lepiej wyglądała, cera i włosy odzyskały swoje kolory, oczy miały z powrotem barwę bursztynu. Przed dziewczyną stała miseczka pełna robaków. - Tyle ich wyszło, ale to chyba wszystkie – uśmiechnęła się zawstydzona. - To przeze mnie – odparł starzec. - Nie dopilnowałem twojej róży, miała robaki. Dziwne, żadna z róż nigdy ich nie miała. - Ale ta jest inna – szepnęła dziewczyna. - To prawda – dodał – I muszę jej bardziej pilnować. A Białowłosa pomyślała, że lęk nie uskrzydla, a może tylko stłamsić.

Po wypadku z robakami Białowłosa nie była już taka jak dawniej, nadal uśmiechała się, śpiewała swoje pieśni, wszędzie jej było pełno, ale jej radość wewnętrzna przybladła, coraz częściej spoglądała w stronę Szmaragdowej Wody i Bycznych Gór, i staruszek odkrył w jej spojrzeniu cień smutku. W nim samym też zniknęła dawna wesołość, Przyprawnik zaczął coraz bardziej bać się o Białowłosą Różę, zaniedbywał mieszanki, by godzinami wpatrywać się w złoto-brązowy kwiat, do obrony przed robakami zwerbował biedronki, te razie czego stale zbierały zielone liszki, gonił nawet nieszkodliwe zupełnie koniki polne i czerwone żuczki, na pajęczki też patrzył krzywo, żaden nie mógł upleść sieci na listku drogocennej róży.

Sama Białowłosa kwiatu, który był nią, nie poświęcała większej uwagi niż innym roślinom. W południe wkładała kapelusz z szerokim rondem i spacerowała między drzewami. Pozdejmowała swoje dyniowe lampy, bo nie zniosłaby widoku złapanych w nie owadów, na słońce patrzyła spomiędzy liści ukryta niczym ptak, ale ostatecznie nawet wesołe pleszki kryły się przed zbyt gorącym w cieniu gałęzi i listowia. Róża zaczęła chować się również przed swoim przybranym ojcem, bowiem stale czuła jego obecność. Wiedziała, że chce ją tylko chronić, że niczego jej broni, ale z drugiej strony jego opiekuńczy cień zaczął ją męczyć, jakby miała dodatkowy całkiem niepotrzebny, wtedy marzyła, by nie mieć żadnego, ale przecież nawet najmniejsze stworzonko na ziemi nie obejdzie się bez cienia.

W jesienny, ale ciepły poranek starzec szykował się na rynek Białego Miasta. Róża postanowiła wybrać się z nim. Przyprawnik zdziwił się, nigdy nie wykazała zainteresowania Białym Miastem. Przypomnił sobie, że kiedyś opowiadał, jej o ludziach mieszkających w białych mieście, próżnych i chętnych niczym pawie, noszących się modnie i bogato, choć bez gustu...nigdy nie spoglądali niżej niż koniec ich nosa, więc trzeba im było dmuchać zapachami przypraw prosto w twarz, a ile przy tym się nabiegać i naskakać; nawet ich wysokie, białe domy stały równo i prosto, nie ugiwały się pod ciężarem zbiorników na wodę jak domki z doliny, choć beczek było więcej niż dwie na jednym dachu, im bogatszy dom, tym więcej zapasów wody... zrozumiał, że nie widząc żadnych ludzi, chciała poznać tych z Białego Miasta, a może prędzej ich wyniosłe domy... Miał pewne obawy, ale obiecała uważać na siebie, ubrała się w uszyty przez siebie strój kryjący ją od stóp do głów, kapelusz i szal. Jesienne słońce nie grzało już mocno, bo o tej porze nie było potrzebne kwiatom i drzewom, którym dojrzały owoce. Poza tym tego dnia przywędrowało sporo gęstych chmur znad rogów Byczych Gór. Skoro góry postarały się, by nakryć słońce, Przyprawnik nie oponował. Zabrali ze sobą prócz szali i przypraw, także jedwabne papucie, w końcu dlaczego miał się nie pochwalić rękodziełem córki.

Przeprawili się przez rzekę i ustawili swój kolorowy kramik pośród innych na ryneczku Białego Miasta. Ludzie od razu wypatrzyli pękatą sylwetkę z kolorowymi naczyńkami, szybko okrążyli namiot, wybierając szale i przyprawy, ale największe zainteresowanie budziła Białowłosa Róża, jesień wyraźnie jej służyła, pod daszkiem kramu zdjęła kapelusz i szal, jej włosy nabrały koloru złota, a oczy błyszczały miodowym bursztynem, wysoka, w jasnej, świetlistej szacie budziła ciekawość gapiów, a Przyprawnik był zadowolony, bo jego szale i przyprawy znalazły uznanie nabywców jak nigdy dotąd. Róża przyniosła mu szczęście, kiedy więc poprosiła o pozwolenie na spacer po ryneczku Białego Miasta, pozwolił jej. Wprawdzie zauważył kręcących się w pobliżu młodzieńców, którzy próbowali złowić chociaż błysk jej bursztynowych oczu, ale były to próżne zabiegi, ona nie poświęciła młodzianom ani chwili swego spojrzenia, więc miejscowi prędko uznali ją za dziwaczkę. Białowłosa, zasłoniwszy się kolorami Szmaragdowej Wody, poszła przyjrzeć się bliżej ludziom noszącym

się niczym pawie i ich wyniosłym domom. Natknęła się jednak na zupełnie inną rzecz.

Pod drzewem czerwonego pieprzu siedział mężczyzna wychudły i brunatny niczym wyschnięty patyk (*Patyczak – zauważyła z uśmiechem Białowłosa, lubiła bowiem te niepozorne stworzenia*) Patyczak miał u swych stóp zniszczoną, czarną walizkę. Toczył po walizce, jakby od niechcienia, małą, szarą piłeczkę, obok bagażu drzemał rudy kocur. Widząc zainteresowanie Róży, nieznajomy skinął na nią, wyciągając w jej stronę piłeczkę. Białowłosa zawahała się, nieznajomy miał bowiem dziwne, niewidzące spojrzenie – dwa czarne otworki bez oczu patrzyły w jej stronę, ale wrodzona ciekawość dziewczyny zwyciężyła. - Do czego służy szara kulka, do zabawy z kotem? – zapytała Białowłosa. - Nie, młoda damo, zresztą ten kot to leń, tylko by spał – odparł nieznajomy. Jakby na potwierdzenie tych słów rudy futrzak przeciągnął się, ziewnął i ułożył na drugim boku. Nieznajomy przyjrzał się Róży i dziewczyna poczuła się nieswojo, teraz jego spojrzenie zrobiło się przenikliwe i ostre (*dwie szpilki – pomyślała – on próbuje zajrzeć mi do środka głowy – odkryła wystraszona.*) Przez chwilę miała wrażenie, że ziemia zakotłosała się pod jej nogami, powinna była uciec, ale w jednej sekundzie wszystko wróciło do normy. Kocur chrapał, a mężczyzna patrzył znowu czarnymi otworkami, tym razem uśmiechając się chytrze. – Ten niepozorny kształt kryje ciekawe rzeczy – dodał, wyciągając zachęcająco piłeczkę w stronę Białowłosej - Potrzymaj mocno, to zobaczysz. Śmiało, nie ugryzie – zachęcił, widząc wahanie dziewczyny.

Ale Róża poczuła lęk. Patyczak nie spodobał jej się, teraz wcale nie przypomniał tego nieszkodliwego stworzenia, raczej gałąź z ostrymi szpileczkami. (*Lepiej tego nie dotykaj – ostrzegano coś w jej głowie*). Patyczakowaty wychwycił obawę Białowłosej i sam potrząsnął piłeczką, po czym dał jej do ręki. - Patrz! - zawołał. Róża mimowolnie spojrziała, kulka rozjarzyła się wszystkimi możliwymi barwami, aż zaboląły ją oczy, po chwili kolory ułożyły się w konkretny kształt - młodzieńca, niosącego z uśmiechem bukiet czerwonych kwiatów. Nie wiadomo, czy młodzieniec był piękniejszy czy owe kwiaty trzymane w jego ręku. Ale obrazek zniknął, kulka ponownie zszarzała, Róża zdumiona nadal trzymała ją w dłoni. - Co to za obrazek? - zapytała ważąc piłeczkę, lekką jak ptasie piórko. - To marzenie zakochania się, marzenie o miłości. Może być twoje, ale nie za darmo. Oddam ci je w zamian za ten piękny szal na twych ramionach – uśmiechnął się szeroko Patyczak. Ale Białowłosej, ani jego uśmiech, ani kulka nie przypadły do gustu. Coś ją mocno niepokoiło. Szpilka niepokoju wbiła się w jej serce. Odruchowo poprawiła delikatny materiał. - Ten szal to kolory Szmaragdowej Wody. Nie oddaje się ich za byle kulkę – zaznaczyła – Poza tym, skąd wzięłeś to marzenie? Bo chyba nie jest twoje... – Białowłosa zapytała ostrożnie. - Ha ha! Ale mnie rozśmieszyłaś! Zabawna jesteś. Byle kulka! - roześmiał się Patyczak. – Mógłbym rzecz jasna marzyć o różnych rzeczach, choćby o młodej, pięknej dziewczynie , ale ja nie mam marzeń, ja je tylko zbieram i handluję nimi, jak ty swoimi szalami i przyprawami. Widziałem wasz pachnący kram. Ja targam wszystko w tej niepozornej walizce. Torba skromna, ale jakie kryje skarby! -

chełpił się. Kocur ziewnął. Jego właściciel otworzył walizkę i oczom Róży ukazało się mnóstwo szarych kulek. Mężczyzna pocierał jedną piłeczkę po drugiej i wszystkie iskrzyły się kolorami tęczy, a barwy układały się w kształty tańczące Białowłosej przed oczami. - Proszę, jakie piękne marzenia! Marzenie o fortunie, marzenie o wielkim domu ze złotym dachem, o darze tworzenia, o podróży do dalekich krajów, o wiecznej młodości, marzenie o długim i zdrowym życiu. Sama widzisz, to nie byle kulki! – wykrzykiwał, a kot pomrukiwał przez sen zadowolony. - Dosyć! – krzyknęła Róża, bo od tej euforii kolorów rozboleła ją głowa. Kulki zszarzały, Patyczak zamknął walizkę, kot obrócił się na brzuch i zachrapał. - To co będzie z marzeniem o miłości, ukochany za szal? – dodał kusicielsko, widząc, że Białowłosa nie oddaje kulki, ale bacznie jej się przygląda. - Więc to marzenie należało do kogoś...Do kogo? – zapytała raptownie. - Po co ci to wiedzieć? – odparł Patyczak – Ale niech będzie. To było marzenie pewnej dziewczyny, ale nie tak pięknej jak ty, wprost przeciwnie – uśmiechnął się z ironią. Róża zignorowała komplement i ironię w jego głosie. - Oddała ci je – stwierdziła zamyślona - ale dlaczego? - dociekała. - To proste. Nie spełniłaby go, była brzydka, biedna i nie najmądrzejsza, więc wołała je oddać – podkreślił Patyczak. (...więc tylko bogaci i piękni zasługują na marzenia, jakie to niesprawiedliwe – zasmuciła się Róża i oddała kulkę). - Nie marzę o miłości – odparła sucho, żałując, że w ogóle podeszła do tego patyczakowatego stwora, rudy kocur wydał jej się sympatyczniejszy, teraz spał zwinięty w kłębuszek.

Ale nieznajomy widząc, że dziewczyna zamierza odejść, zaczął ją zagadywać. - Ty nie jesteś z Białego Miasta. Jesteś jakaś inna... Teraz to zauważyłem – I w jego oczach błysnęły złowrogie szpilki. - Z doliny Szmaragdowej Wody – Białowłosa odparła szybko, zaniepokojona poczuła delikatny kolec w sercu. – Muszę wracać. - odparła pośpiesznie. Już obróciła się na pięcie, zasłoniwszy szalem. - Poczekał – zagadnął Patyczakowaty – A jakie ty masz marzenie? - I tak ci go nie dam. Poza tym nie mam marzeń. (*Po co ja rozmawiam, muszę uciekać...* - szepnęła do siebie spłoszona). Ale Patyczak przejrzał ją, przygwoździł wzrokiem na miejscu, aż ziemia zakołysała się ponownie pod jej nogami i Róża chwilowo osłabła. - Chciałabyś być silna i twarda jak pień drzewka pomarańczowego – oznajmił triumfująco i wyciągnął rękę w jej stronę. Róża zaskoczona odruchowo zamknęła oczy, ale to jej nie pomogło, w dłoni nieznajomego pojawiła się kulka z jej marzeniem. Kocur nie spał, wpatrywał się w nią zielonawym spojrzeniem, w którym czaiło się rozbawienie i kpina. Tak łatwo dała się podejść... - *On kradnie cudze marzenia – uświadomiła sobie z rozpaczą Róża. - To złodziej marzeń!* Wzięła się w garść i zamknęła swoje myśli, ale było za późno. Złodziej Marzeń bawił się szarą kulką. - Oddaj! – krzyknęła Róża. - Oddam, ale za szal. Kolory Szmaragdowej Wody za nie byle kulkę – uśmiechnął się złośliwie.

Róża szybkim ruchem podała szal, potrząsnęła kulką, ale kolory ułożyły się w znany jej obrazek – młodzieńca z bukietem. - Przecież to nie moje marzenie! – krzyknęła. - Ale może być twoje – przekonywał Złodziej Marzeń – Weź je, bo zostaniesz bez żadnego – dodał kpiąco. A kot uśmiechnął się bezczelnie.

Złodziej Marzeń otworzył walizkę i bezceremonialnie wrzucił kulkę razem z szalem do środka. Białowłosa próbowała przechwycić piłeczkę, ale oszust zdążył zamknąć bagaż, a kocur zasyczał ostrzegawczo. - Podrapie! – pogroził jej Złodziej Marzeń. W tym czasie pod pieprzowym drzewem zjawiał się Przyprawnik, zaniepokojony dłuższą nieobecnością córki. - Ojczy! – zwróciła się ku niemu rozgorączkowana Białowłosa – To złodziej marzeń! Zabiera ludziom marzenia i chowa do tej walizki. Potem nimi handluje. Moje też tam włożył. Przyprawnik zrobił srogą minę. - I co z tego? – odparł niezrażony Złodziej Marzeń – I tak ich nie spełnią. Są zbyt słabi, głupi, bojaźliwi. Ale marzenia mają ciekawe, więc mogą skorzystać inni. A marzenie twojej córki po prostu spodobało mi się, jak ten szal, zresztą oddałem jej inne, o miłości, czy młoda dziewczyna może pragnąć czegoś więcej? – zakończył filozoficznie. Przyprawnik złapał za walizkę. - Nie sprzedasz tych marzeń! – zagroził. - No cóż – odparł Złodziej Marzeń. – Ale wtedy one umrą, zszarzeją i zwiędną na pył. Zobaczcie! - Podrzucił wybraną kulkę w powietrze i ta rozsypała się niczym szary proszek, który spadł na mrowisko pod drzewkiem. - To akurat było marzenie o zdrowiu, jak się zapewne domyślacie kogoś bardzo chorego – zawołał Złodziej Marzeń triumfująco. - To okrutne tak traktować czyjeś marzenia! – krzyknęła Róża. - Potworze! - zawtórował Przyprawnik. Róża chciała coś powiedzieć, przeszkodzić oszustowi, ale ziemia tak raptownie zakotłosała się jej pod nogami, że poczuła kolory odpływające z twarzy. Zdażyła jeszcze wydać z siebie słaby jęk, po czym zemdląa. Starzec zaczął wzywać pomocy, próbował przy tym otworzyć walizkę, ale kot wpił się pazurami w jego nogę, a patyczkowaty stwór w rękę. Przyprawnik pokonany wypuścił torbę z marzeniami.

Białe Miasto zamieszkiwali ludzie próżni, a więc i niewrażliwi na krzywdę innych i nie śpieszący się z pomocą. Kiedy wreszcie zaintrygowany tłum zebrał się pod drzewem czerwonego pieprzu, Złodziej Marzeń i rudy futrzak dawno rozplynęli się w powietrzu, a Przyprawnik usiłował ocucić dziewczynę roztartymi pieprzowymi ziarenkami. Jednakże ostry zapach dotarł w pierwszej kolejności do nozdrzy mieszkańców, w efekcie ci poczęli kichać tak zamasyście, że niewzruszone domy jęły dygotać, a ich dachy podrygiwały niczym porcelanowe pokrywki na rozgrzanych imbrykach z herbatą czy kawą. Rozkichana i niezadowolona ciżba poczęła machać pięściami oraz złorzeczyć starcowi, ale Róża wreszcie ocknęła się z omdlenia, kichnąwszy tak głośno, że ludziom pospadały nakrycia z głów.

Białowłosa po powrocie do doliny nie czuła się najlepiej. Przygoda ze Złodziejem Marzeń wyssała z niej wszystkłą energię. Dziewczyna położyła się w swym pokoju. Leżała owinięta w narzutę i obłożona poduszkami, ciągle ściskając w dłoni szarą kulkę. Obserwowała ze smutkiem brązowego pajęczka plotącego sieć w okiennej ramce - Nie mogę nawet oddać skradzionego marzenia, nie wiem, gdzie szukać jego właścicielki – westchnęła cicho. - Może zatrzymasz je dla siebie – odezwał się staruszek czuwający u wezgłowia. Róża nie odpowiedziała. - Ojczy – odezwała się po chwili słabym głosem. - Nie chcę już widzieć Białego Miasta, w którym niczego nie można zyskać, a wszystko

tylko stracić. Nie chcę znać miejsc, gdzie patyczaki mają ostre spojrzenia jak szpilki i złe zamiary. Nie zamierzam poświęcać uwagi ludziom próżnym, wyniosłym, ani ich domom. Nie opuszczę doliny. Tu czuję się bezpieczna – odparła. - Dobrze – przyznał staruszek i poczuł ulgę. - Ale pozwól mi czasem schować się przed Tobą – dodała dziewczyna. - Pozwolę – zgodził się starzec i pogładził ją po czole. Oboje wyszli popatrzeć na różę między begoniami. Opadł z niej złotawy płatek. - Przekwita jak inne – oznajmiła smutno Białowłosa, podnosząc zgubę z ziemi. Ale Przyprawnik zauważył coś jeszcze, dotknął różanego listka, była na nim kropla wody. Słona.



ROZDZIAŁ III

Zielonożółty, zielonoskrzydły przybysz



- W dolinie śpiew rozbrzmiewa jak alarmowy dzwon, nie jest to ptasi ton, miast ptaków śpiewają drzewa, wyczuły nieznaną wiatr...co chłodem powiewa od strony gór...i nikt nie zdradzi im, czy wieje wiatr dobry czy zły , tylko chmury w sekrecie szepczą tak: Ach, nie ufajcie wiatru, który głaszcze po liściach, by za chwilę szarpać gałęziami ...wiatru, co może zadać ból - podśpiewywała Białowłosa w jesienne popołudnie, krojąc w plasterki soczyste owoce koloru dojrzałego słońca.

Pieśń o nieznanym wietrze przyszła do niej zupełnie niespodziewanie w trakcie szykowania pod pomarańczowym drzewkiem codziennej, owocowej uczyty dla motyli. Te barwne istoty, które Białowłosa Róża chętnie gościła w ogrodzie, lubiły, póki ciepło, przysiądać na plasterkach pomarańczy, a dziewczyna obserwowała swoich gości z prawdziwą przyjemnością, koty podrzemywały na tarasowych poduszkach, więc nic nie zakłócało motyli podwieczorków. Kiedy dziewczyna kończyła krojenie kolejnego cytrusa, poczuła, że coś lub ktoś obserwuje ją bacznie z rosnącego tuż obok krzewu hibiskusa. Podniosła wzrok i zobaczyła przedziwnego motyla na największym czerwonym kwiatku. Miał on skrzydła koloru soczystej zieleni, ozdobione delikatnym złotawym ornamentem, (*rysunek złotym piórkiem i ta zieleń...w krainie parzącego słońca bywa rzadkością – zauważyła przyglądając mu się Białowłosa*). Motyl strzygł czułkami długimi niczym dziobek kolibra, i wyraźnie wpatrywał się w nią oczami koloru czarnego jadeitu. Róża uśmiechnęła się i zaprosiła gestem zielonoskrzydłego przybysza do stolika z owocowymi pysznościami, ale ku jej rozczarowaniu, motyl odleciał i zniknął wśród drzew. (*Może nie lubi owoców – pomyślała dziewczyna*).

Kiedy na owocowym podwieczorku pojawili się wyczekiwani goście, Białowłosa odruchowo szukała wśród nich zielono-złotego przybysza, podpytywała o niego cytrynki, pawiookie rusałki, pазie, ale żaden z nich nie spotkał zielonoskrzydłego fruwaka.

A jednak tajemniczy motyl nie zniknął, ku radości Białowłosej objawiał się znienacka, co kilka dni. A to obserwował ją znad listka mięty albo z pokrywki imbryczka, kiedy sięgała po herbatę, krążył pod palmowym daszkiem, ale przy każdej próbie zatrzymania, odlatywał, a Białowłosa odczuwała nieznaną jej wcześniej smutek i za każdym razem wyczekiwała go z coraz większą tęsknotą zadziwiającą nawet ją samą. Dziewczyna opowiedziała starcowi o swoim zielonym gościu i towarzyszących jej uczuciach, które wzbudzał w niej mimowolnie, ale Przyprawnik, zapracowany bardziej niż kiedykolwiek, szykował się bowiem na jesienny targ do Białego Miasta, nie przejął się tym zbyt.

Miał zresztą inne zmartwienia. Jedwabnikom nie chciało się pracować, choć pożerały więcej liści morwy białej niż zazwyczaj, część pszczół postanowiła poszukać sobie nowego mieszkania dalej od doliny, a bliżej żółtych pól, z kolei czerwona morwa ostrzegła go, że może wydać mniej owoców niż poprzednio. To wszystko nie napawało starca optymizmem, rzecz jasna zauważył motyla o skrzydłach koloru niespotykanej zieleni, bowiem zielono-złoty owad czasem kręcił się również nad mieszanymi przez starca przyprawami, i ku jego zdziwieniu nawet ostry zapach pieprzu nie odstręczał przybysza. Ale motyle mają różne zwyczaje, tak to sobie tłumaczył. - To nie jest motyl z doliny – zawyrokował - tylko przybysz z odległych krain. Dziwne, że zapędził się tak daleko. Nie zaprzataj sobie nim głowy. Motyle przylatują i odlatują. Lepiej przekonaj jedwabniki, żeby wzięły się do pracy, a nasze pszczoły zniechęć do przeprowadzki. Też wymyśliły... żółte pola jakiegoś chwastu – poradził Białowłosej i wrócił do swoich przypraw. Ale Białowłosą jego słowa wcale nie

uspokoily, czuła, że coś się wydarzy, jak w jej pieśni ułożonej naprędcie, nieznany wiatr powiał znad Byczych Gór, ale co przynosił ze sobą? Czy był to wiatr dobry czy zły, nie miała pojęcia... za to udzielał się jej coraz mocniej niepokój drzew...i oczywiście zaniedbała rozmowy z jedwabnikami oraz pszczołami.



Kiedy Przyprawnik wyprawił się łódeczką do Białego Miasta zatroskany z powodu jedwabników, pszczół, morwowych drzew, a do tego jeszcze roztargnienia Róży, ona wyszła pospacerować wzdłuż brzegów Szmaragdowej Wody. Ujrzała tam intrygującą rzecz - wielki kosz z wikliny, obok kolorową kulę z nieznannej materii, połączoną z nim sznurami, jak nićmi, która spłaszczyła się stopniowo, jakby sama wydmuchiwała z siebie powietrze, szło jej to dosyć ochoczo i raczej bezboleśnie. Kula wygładziła się całkiem na cienki kolorowy naleśnik i spoczęła na szarym brzegu rzeki. Białowłosa mogłaby przysiąc, że stwór wydał z siebie coś w rodzaju błogiego westchnięcia, nim opadł z ulgą na ziemię. Dziewczyna podbiegła bliżej i wtedy zobaczyła młodzieńca w ubraniu koloru soczystej zieleni, o jasnych, prawie złotych włosach, zwijającego fale owej pozornie martwej materii. (- *Zielonoskrzydły, złotawy motyl – szepnęła zaskoczona Białowłosa i przystanęła zaintrygowana.*) Mężczyzna spojrzął na nią bystrymi, czarnymi oczami koloru jadeitu, ale w przeciwieństwie do niej wcale nie był zdziwiony. - Białowłosa Róża, wreszcie cię spotkałem – odezwał się, jakby to było oczywiste. - Skąd mnie znasz? - spytała szczerze zdumiona. - Ze snów. Przyśniłaś mi się, a potem usłyszałem twoją pieśń o wietrze i drzewach, które śpiewają zamiast ptaków... i po prostu musiałem cię zobaczyć, Niezwykła Białowłosa Różo – odparł Zielonozłoty z uśmiechem.

A Róża poczuła ciepło wnikające aż do jej serca. Z trudem ukryła swoje zmieszanie. - Ale jak wiedziałeś, gdzie mnie szukać i co to za magiczna kula? Zachowuje się jak żywa – pokazała zaintrygowana na kosz i kolorową materię. - Ach! – zaśmiał się przybysz - To balon, wypełnia się powietrzem, jakbyś nabierała go sobie w policzki. Robię to specjalną pompką – wyjął z kieszeni odzienia urządzenie przypominające gwizdek. - Kiedy napompuję kulę, kosz, do którego jest przywiązana unosi się do góry, coraz wyżej, wyżej i lecimy –

wyjaśnił mężczyzna. - Chcesz powiedzieć, że lataasz w powietrzu niczym ptak? Tak po prostu? – zadziwiła się Białowłosa. - Dokładnie...ale nie mogę mieć żadnego bagażu. Nie uniosłaby go – odparł ze smutkiem Zielonozłoty, a widząc zainteresowanie w oczach dziewczyny ciągnął dalej. - Podróżuję balonem po świecie, zbieram różne opowieści, potem je przekazuję innym i tak żyję. Jestem wędrowcem, podniebnym podróżnikiem – zakończył z uśmiechem. - Dlaczego wylądowałeś tutaj, wiatr cię przygnał od strony Byczych Gór? A może twoja kula zmęczyła się długim lotem i postanowiła odpocząć? - dociekała Białowłosa. - Bycze Góry! Ciekawa nazwa... faktycznie balon zaczął mi wypuszczać powietrze, kiedy przefrunęliśmy nad tymi górami - zamyślił się chwilowo przybysz, po czym pośpieszył z odpowiedzią. - Rzeczywiście mógł mnie tu przygnać wiatr, ale zaczęło się od szarej kulki. W pewnym mieście z drzewami bananowymi kupiłem od niepozornego gościa, wędrującego z walizką i w towarzystwie rudego kota, szarą piłeczkę, zawierającą ponoć marzenie o niezwyklej dziewczynie. (*Złodziej Marzeń! – drgnęła Róża*). - Mów, słucham cię – dodała prędko, widząc, że nieznajomy przerwał na chwilę i przygląda się jej reakcji. - Wziąłem piłeczkę z czystej ciekawości i zapomniałem o wszystkim... – kontynuował podróżnik. Nagle urwał, bo zauważył bladość Róży, przybladła nie tylko jej twarz, ale włosy i oczy. Róża, czując badawcze spojrzenie przybysza, wzięła się w garść, biel cery ustąpiła. - Mów – ponagliła go. W odpowiedzi uśmiechnął się do niej. - Byłem pewien, że marzenie ukryte w szarej piłeczce, to zwykłe oszustwo, ale dziewczyna o białych włosach przyśniła mi się, kulka zniknęła, powiał nieznany mi wiatr, usłyszałem śpiew, leciałem poprzez chmury, o mało nie zahaczyłem o skały niczym rogi byka i wylądowałem tutaj. Zobaczyłem cię w tej kulce i w moim śnie, musiałem cię znaleźć, a teraz wiem, że było warto. Jestem Virid – przedstawił się mężczyzna. Ale Białowłosej nie przekonała opowieść podróżnika. - Szybko mnie odnalazłeś. Złodziej Marzeń ci o mnie powiedział? - zapytała nieufnie dziewczyna. - Kto? – roześmiał się Virid – Nie, to on pokazał mi drogę, mój zielono-złotawy przyjaciel. I wyciągnął dłoń w kierunku Białowłosej. Znajomy motyl o zielonych skrzydłach zdobionych delikatnym, złotym rysunkiem przeleciał w stronę dziewczyny i usiadł na jej ramieniu. Białowłosa tym razem odwzajemniła uśmiech, a jej oczy przybrały barwę mieniającego się bursztynu. Fala ciepła zalała jej serce. - To nie był przypadek – przyznała. - Nie – odparł mężczyzna - I wyciągnął ponownie rękę w jej stronę. - Proszę. To dar dla ciebie. Motyl powiedział mi wiele o tobie, również to, czym się żywisz. Na dłoni mężczyzny wykwitła czerwona róża, by po chwili zmienić się w kryształowe naczynie. - Różany miód – podkreślił podróżnik – Liczę, że go polubisz. - Dziękuję – uśmiechnęła się Róża i przyjęła dar.

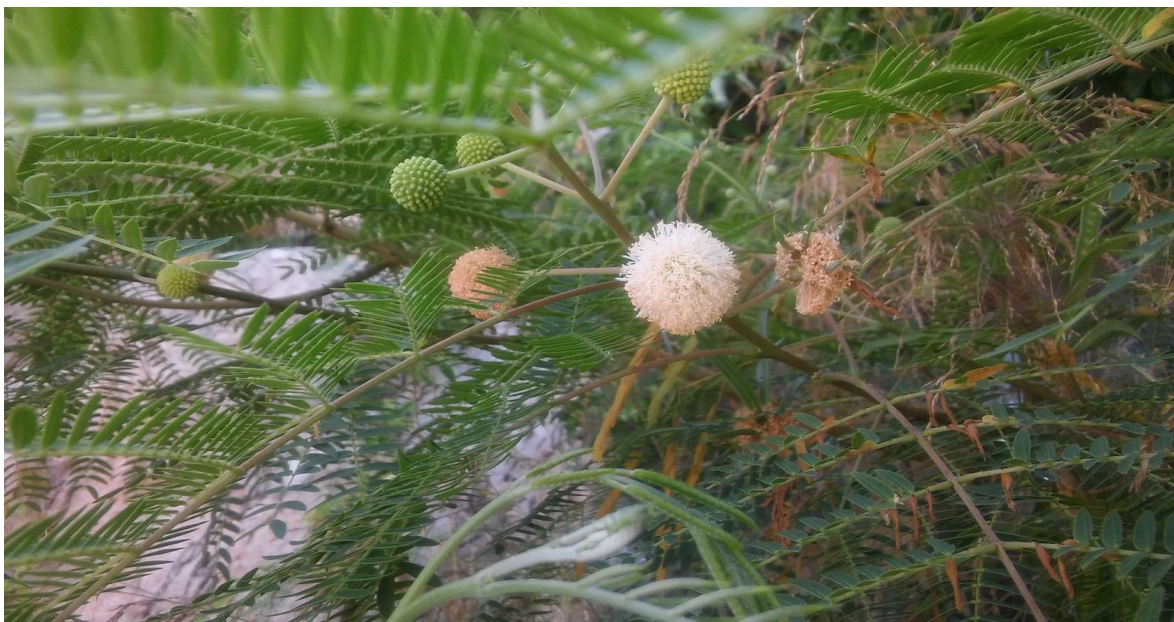


Kiedy Przyprawnik przywiosłował swoją łódeczką z Białego Miasta, zobaczył na brzegu Szmaragdowej Wody tych dwoje, pięknych, młodych, tak zajętych rozmową i wpatrzonych w siebie, że nawet nie spostrzegli, że słońce już skryło się za rogami Byczych Gór. Rozmawiali ze sobą w ciszy, jakby znali się od dawna, a towarzyszył im zielono-złotawy motyl. Jednakże widok zakochanej pary przygnębił Przyprawnika bardziej niż sądził. Poczuł sól w sercu i pożałował, że ignorując obawy Róży, nie pogonił w porę intruza o skrzydłach barwy zieleni niespotykanej w dolinie.

Przez kolejne dni Białowłosa Róża i Zielonoszłoty (bo tak wołała nazywać podróżnika dziewczyna, motyla zaś ochrzciła mianem Zielonoskrzydły) stali się nierozłączni, co Przyprawnik obserwował z coraz większym niezadowoleniem, połączonym z niepokojem. Magiczna kula Virida wcale nie postanowiła odpocząć na brzegu Szmaragdowej Wody, ale złapała w locie dziurę, dlatego z nieukrywaną ulgą opadła na ziemię. Może podróżnik zahaczył nią o róg Byczych Gór. Przyprawnik po oględzinach zaofiarował się, że załata otwór większym kawałkiem jedwabiu, ale szkopał w tym, że nikomu, poza starcem, nie zależało na szybkiej naprawie balonu. Virid wraz z zielonoskrzydłym przyjacielem towarzyszyli Białowłosej krok w krok, a niezawodne jedwabniki, jak na złość, odmówiły współpracy, Róża zaś wcale nie zamierzała nikogo poganiać. Odkryła, że jej szara kulka też zniknęła, więc marzenie, choć dane jej wbrew własnej woli, spełniło się i choć było jej trochę przykro, bo mimowolnie zabrała je innej dziewczynie, przy Viridzie zapomniała o tym. Cała promieniała i wyglądała piękniej niż kiedykolwiek, a roślina rosnąca między begoniami wypuszczała coraz to nowe pędy pachnących kwiatów.



Białowłosa chciała już tylko jednego, by podróżnik został w dolinie jak najdłużej. Jej wcześniejsze obawy czy lęki rozplynęły się w cudownych opowieściach Virida o nieznanym i ciekawym krainach. Teraz we dwoje pili herbatę w cieniu pomarańczowych drzew, wachali aromatyczne zioła, obserwowali wieczorami nocne motyle czy gwiazdy na ciemniejącym niebie. Zielonozłoty rozgościł się na dobre w dolinie i w sercu Róży. Ona uszyła dla niego papucie ozdobione pomponami z fioletowych kulek kolczastego eryngium zwanego mikołajkiem, a on zrobił jej papierowe witraże w kształcie motyli na okienne szyby.



Ale Przyprawnik zauważył ze złośliwą satysfakcją, że dekoracje przybysza są dosyć nietrwałe, a i postać Zielonozłotego nie wzbudziła zaufania starca, jednakże ze względu na Różę nie okazywał podróżnikowi wrogości. Na swój sposób cieszył się, bo Białowłosa była szczęśliwa, czuła się, jakby dookoła niej zakwitły drzewka pomarańczowe, choć był to czas jesieni. Przyprawnik obawiał

się jednak, że jej szczęście może okazać się ulotne jak motyle skrzydła.

Pewnego dnia, kiedy liczył butelki syropu z morwy, Białowłosa zagadnęła i była to rozmowa, która mocno zaniepokoiła starca. - Ojczy, czy poradziłbyś sobie sam, gdybym opuściła dolinę? – zapytała niepewnie, nie patrząc mu w oczy. Poczłł chłód i sól w sercu, ale o dziwo nie był zaskoczony. - Dlaczego chcesz odejść z doliny? Źle się tu czujesz? - odparł. - Ależ skąd. Przecież wiesz, nigdzie nie będzie mi lepiej – odrzekła. - Zatem dlaczego zamierzasz odejść? - powoził pytanie, choć odpowiedź z góry znał. - Zielonozłoty chce wyruszyć, nudzi mu się w dolinie, a ja pragnę być z nim – przyznała szybko. Przyprawnik wzruszył ramionami. - Gdzie mu się tak śpieszy? – burknął – Prędko nie odleci. Nie ma jeszcze jedwabiu...liczyłaś kokony? Poza tym kula cię nie uniesie. - Rozmawiałam z jedwabnikami – przyznała Białowłosa z uśmiechem – obiecały, że się poprawią. No i jestem lekka jak piórko. Balon nawet nie poczuje mojego ciężaru. - W takim razie ty chcesz odejść! - krzyknął Przyprawnik - Ale dlaczego? W dolinie jesteś bezpieczna. Tutaj masz swój ulubiony syrop z morwy! Nie dosięgnie cię palące słońce! Tu jest twój dom. Virid nie ma domu! – pokrzykiwał zniecierpliwiony.

Ale Białowłosa przyjęła jego starcze uniesienie ze stoickim spokojem. - To prawda, co mówisz. Wiem, że jestem inna niż zwykle dziewczęta, delikatna, słaba, boję się – przyznała. - Ale prawdą jest też, że dzięki Viridowi mogę stać się silniejsza. Miód różany, który mi podarował, jest tak samo odżywczy jak syrop morwowy czy miód z drzewa pomarańczowego. Są też inne miody, których nie próbowałam. A domem Virida jest cały świat, jego opowieści mogą być moimi, jego siła moją. Virid powiedział mi, że silne drzewo nie boi się nieznanego wiatru, żadnego wiatru, ten może nim szarpać, i choć to boli, ono stoi niewzruszone jak strzelisty dom bogaczy z Białego Miasta. Chcę być twardsza – powiedziała te słowa z mocą, o jaką jej nie podejrzewał. - Pragnę być mocnym drzewem, czy to źle, ojczy? – zaznaczyła. - Nie - odparł łagodnie, bo zrozumiał ze smutkiem, że ona już postanowiła. – Ale wiedz jedno – odezwał się gorzkim głosem - Kiedy Zielonozłoty cię zostawi tam...w swoim świecie, staniesz się jeszcze słabsza. Pokaż mi motyla, który trzyma się tylko jednego kwiatu. I prędko pożałował tych słów, bo Róża uciekła z płaczem, zamknęła się w swym pokoju i nie chciała nikogo widzieć. Przyprawnik, by uniknąć pytań podróżnika, podjął się z ciężkim sercem naprawy jego balonu. Przygotował się już na odejście córki. Jednak, kiedy z samego ranka zawitała doń czarna jaskółka - posłaniec Kozłowej Wiedźmy, z prośbą o dostarczenie do Pękniętej Skały przyprawy uniwersalnej na każde danie, poczuł okruszynę nadziei. Uznał, że przy okazji ubłaga o poradę mroczną czarownicę, choćby ta miała go wykąpać w Wędrujących Źródłach.

Zazwyczaj, kiedy starzec wybierał się do Pękniętej Skały w przyprawowych interesach, czarownica nie pojawiała się w swej dziupli. Przyprawnik nawet nie opuszczał łódki. Jaskółki albo nietoperze przylatywały do łódki z koszyczkiem. Przyprawnik wkładał potrzebną rzecz, w zamian dostawał srebrną bądź złotą monetę. Tym razem, widząc znajomych

poślańców z koszykiem zamachał wiosłem i zawołał po imieniu czarownicę. Ale jaskółki wzięły, co trzeba, spuściły zapłatę i odleciały. Już był pewien porażki, gdy pojawiła się czwórka czarnych nietoperzy. Wielkie skrzydła bezceremonialnie pochwyciły starca za ubranie, pofrunęły z nim w górę skały, rozhuściły go i wrzuciły w głąb dziupli z takim rozmachem, że z jękiem bólu usiadł na kanciastym kamieniu. - Czego chcesz? – Dobiegł go nieprzyjazny głos. Próbował rozprostować nogi i ręce, ale ciemna dziupla okazała się za mała, musiał trzymać podkurczone kończyny, ściany prawie gniotły mu ramiona. Poczul się nieswojo. - Nie zaprosisz mnie dalej. Ciasno i ciemno – poskarżył się. - Trudno. Nie mam nastroju do przebieranek. Musi ci wystarczyć mój głos. Mówże. Skoro ci niewygodnie, to tym bardziej nie traćmy czasu – mruknęła Kozłowa Wiedźma, zawsze była konkretna, ale tym razem miała wyjątkowo chropawy głos (*Przeziębiona czy co... – stęknął Przyprawnik – moje kości...*). - Nie jęcz mi tu, gadaj prędzej – ponagliła go Wiedźma, słysząc każdą jego myśl. - Katar mam – dodała beznamiętnie, bo nie zwykła się nad sobą rozczulać. - Mogłaś uprzedzić. Zrobiłbym ci miksturę na przeziębienie – zatroskał się szczerze. - Ale ja wolałam przyprawę do zupy – odburknęła - Doczekam się wreszcie, w czym rzecz, czy będziesz zalegał mi na kamieniach i chłodził sobie zadek – dogadywała czarownica. (*Jędza – pomyślał starzec i szybko się zreflektował*). - Róża jest zakochana. Zielono-złotawy motyl. Podróżnik z balonem i opowieściami – wyrzucił z siebie. Oczywiście czarownica wszystko odgadła, ale zrobiła sobie małą przyjemność, przetrzymując staruszkę w ciasnej dziurze. - Jak ona się czuje? – zapytała po prostu. - Jest szczęśliwa. Promienieje blaskiem bursztynu, a jej róża ciągle wypuszcza nowe kwiaty, pięknie pachną, a jakie niezwykle odcienie przybierają, czyste złoto i brąz – rozmarzył się starzec. - Miłość czyni cuda – mruknęła czarownica – Ale szczęście miłosne bywa ulotne. - Właśnie – podchwycił starzec, wiercąc się, bo ściany dziupli poczęły napierać na jego plecy. Po chwili zmiękły i rozszerzyły się, a nieborak z ulgą wyciągnął przed siebie pokurczone ręce i rozprostował obolały grzbiet. – Boję się, że blask Róży osłabnie poza doliną, więcej, zszarzeje na popiół. A tego bym nie zniósł. Ona chce opuścić dom, ten zielono-złoty intruz ją namówił, podróżnik i jego motyl – przyznał posepnie Przyprawnik. - Słusznie się obawiasz, miłości nie należy ufać, zwłaszcza jeśli góruje nad zdrowym rozsądkiem – zawtórowała czarownica i pociągnęła nosem. - A może ty po prostu nie chcesz być sam? Przyznaj się lepiej... - W głosie Kozłowej Wiedźmy wyczuł podejrzliwość. - Całe życie byłem sam...boję się tylko, że ona nie poradzi sobie w tym wielkim świecie... jest zbyt delikatna – zaprzeczył staruszek, po czym zmienił ton. - Ale masz trochę racji, nie chciałbym jej stracić. Jednak, jeżeli taka wola Białowłosej, naprawię balon i pozwolę jej odejść, a potem niech sól Szmaragdowej Wody zasoli moje serce – zawiesił głos smutno. - Dobrze, już dobrze - pocieszyła go wiedźma, wydmuchując nos. - Tylko mi tu nie biadol, od ludzkich narzekań głowa pęka, a potem zjawia się katar – dodała. - Przypłyn do mnie o świcie, kiedy w twoim ogrodzie opadnie ostatni płatek z największego kwiatu czerwonego hibiskusa, w tym czasie napraw balon, kula

ma być gotowa do lotu. Pamiętaj - ostatni płatek, największy kwiat. - podkreśliła. - Ale... nie wiem, co ci w zamian podarować – dorzucił zakłopotany starzec - ostatnio cienko przedę... – Wiem, wiem – przerwała mu szybko – pszczoły, jedwabniki, morwy. Nie wymagam daru. Tym razem. Wszystko będzie dobrze – dodała cieplejszym tonem – A teraz bywaj. Audiencja zakończona – oznajmiła stanowczo i bezapelacyjnie.

Nawet nie zdążył wstać, kiedy dziupla rozszerzyła się samoistnie, czarne nietoperze wyciągnęły Przyprawnika z jej wnętrza i z takim impetem posadziły w łódce, że ponownie jęknął, a łodzią zakołysało, o mało jej nie wywróciło. - Przekłeta wiedźma – zamruczał starzec, rozcierając sobie siedzenie i łapiąc za wiosło – żeby mnie przyjmować jak pachotka i poniewierać starymi kośćmi, może by tak Zielonozłotym poszarpała. Jego kości dużo młodsze. Ciekawe, co by zrobił, gdyby go wcisnęła do wąskiej dziupli. Po czym nagle umilkł, przecież czarownica mogła jeszcze usłyszeć jego krytyczne myśli. Mawiano, że łapała każdą ludzką myśl krążącą po dolinie, ale w zasadzie nikt tego nie widział.

Przyprawnik, powróciwszy do siebie, zajął się naprawą balonu. Jedwabniki wzięły się do pracy, Virid wydawał się zadowolony, ale entuzjazm Róży trochę osłabł. Zrozumiała, że będzie tęsknić za ojcem i domem. Zaczęła się obawiać rzeczy nieznanych. Opowieści Virida trochę ją zmęczyły, nie chłonęły też całego jej lęku, gdzieś tam pływał sobie ów straszek na powierzchni, a jeżeli Zielonozłoty zostawi ją – Białowłosą Różę samą w tym wielkim świecie nieprzebytym niczym ocean na pastwę słońca, robaków, wody. Poza tym, kiedy opuści dolinę, nie znajdzie już drogi powrotnej, nieznany wiatr będzie ją niósł coraz dalej, ale nie cofnie się do tyłu. Zapytała o radę zielonoskrzydłego motyla, a ten strzygł czułkami i mrużył oczy, podjadając plasterek owocu. - Nie ma powrotu – zdawało się mówić czarne spojrzenie jodeitowych oczu.

Tymczasem największy kwiat czerwonego hibiskusa stracił wszystkie płatki i Przyprawnik wczesnym świtem popłynął do siedziby Kozłowej Wiedźmy. Kiedy ujrzał w otworze Pękniętej Skały u stóp Wędrujących Źródeł znajomą postać kozła o szarym spojrzeniu, sychnął tradycyjnie przed siebie garścią orzeźwiającej mięty. Chciał wprawić czarownicę w dobry nastrój, podziękować jej za wielkoduszną rezygnację z daru. Ale kozioł począł kichać tak siarczyście, że ze skały odpadały kamienie i robiły się dziury niczym w serze.



Przyprawnik ze zgrozą zauważył, że pomylił zioła. Miał ulubionej przez czarownicę mięty truskawkowej zabrał kędzierzawą. Już miał zawrócić łódką i uciec, żeby nie narazić się na wiedźmi gniew, w końcu balon był prawie gotowy do odlotu, ale niewidzialna ręka, uprzedzając jego zamiary, porwała go w górę i sprawiła, że wylądował w wiadomej mu dziurze, na szczęście nie na siedzeniu. Ściany dziupli rozszerzyły się i starzec znalazł się w jasnej, marmurowej jaskini ze źródłem mieniącym się na różowo. Wiedźma siedziała na ławie w sąsiedztwie źródła, jeszcze bardziej pokraczna i rozczochrana niż poprzednio, we włosach miała spinki – malutkie nietoperze, które podrzemywały ze świstem, spoczywała na poduszce w towarzystwie czerwonych ropuch. Te gapiły się ponurym wzrokiem. Ona sama przywitała starca nosem zaczerwienionym od kichnięć i złowrogim spojrzeniem, od którego zmiękły mu kolana. - Powinnam cię wykąpać w Wędrujących Źródłach! – warknęła – Co za okropny zapach? O mało mi nosa nie urwało! - rzuciła złowieszczo. - Wybacz – odparł pokornie starzec – pomyliły mi się mięty, ze zdenerwowania i niewyspania. Byłem pewien, że wziąłem truskawkową...ale z drugiej strony kędzierzawa nie pachnie tak źle, może odrobinę ostrzej... - Raczej jej nie polubię – burknęła zrezygnowana – Co się z tobą dzieje?! - podniosła głos - Ty, wytrawny znawca, mylisz zapachy? Przyprawa, którą mi sprzedałeś, nadaje się chociaż do zupy? - Oczywiście! - zapewnił ją starzec – To nie próbowałaś jej jeszcze? - ośmielił się zapytać. - Ostatnio rzadko gotuję. Żywię się surowym. Ale co konkretnie wolałbyś nie wiedzieć, więc oszczędzę ci szczegółów – uśmiechnęła się jadowniczo. Przytaknął z pokorą. Faktycznie, nie był ciekaw. (*Może wcina ropuchy na śniadanie albo kolację, kto tam nadąży za czarownicą...– wymusknęło mu się niechcący*) - Ropuch nie jadam, ani nietoperzy, ni jaskółek, nachalne tłuściochy są bardziej pożywne – wtrąciła niemiłym tonem, czytając w jego myślach. Przywołał się do porządku i wyciągnął w jej kierunku monetę. - Zwracam zapłatę, skoro nie wymagasz daru – powiedział. Sarknęła, ale jej spojrzenie złagodniało. - Zatrzymaj. Zapłata za przyprawę ci się należy. Sama zrezygnowałam z daru, a nigdy nie cofam danego słowa – podkreśliła uprzejmie.

- Dziękuję wiedźmo – odparł z ulgą i dodał. - Zielonozłoty chce wyruszyć, kiedy jedwabniki pójdą na odpoczynek. Róża ma mu towarzyszyć. Jest

zdeteminowana, ale jakby mniej. Boję się o nią – oznajmił. - Niepotrzebnie. Nic jej się nie stanie – uspokoiła go wiedźma. W tym momencie źródło zbulgotało. Ze środka wynurzył się brązowy woreczek. Przefrunął w stronę starca i ułożył się zgrabnie w jego dłoni. Kiedy starzec ścisnął zawartość, woreczek sprawiał wrażenie zupełnie pustego w środku. Przyprawnik zdziwił się, wiedźma jednak uprzedziła jego pytanie. - We wnętrzu sakiewki jest złotawy proszek, ale nie wolno ci doń zaglądać. Tym proszkiem posypiesz podróżnika i jego skrzydłatego towarzysza. To proszek zapomnienia. Pozwoli zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. Zielonozłoty i jego przyjaciel nie będą pamiętać niczego, co przeżyli w dolinie. - A Róża? - spytał mimochodem starzec. - Jeszcze nie skończyłam. Cierpliwości – ciągnęła wiedźma. - Przede wszystkim musisz złapać zielonozłotawego motyla, inaczej nic się nie uda, zwab go najlepiej miętą truskawkową do swojej kuchni, posyp złotawym proszkiem, odczekaj, aż zrobi się złoty kokon i zamknij go w jednym z naczyń na przyprawę. Białowłosej dodaj do syropu morwowego tej samej truskawkowej mięty, zrób to nawet przed południem, zaśnie od razu spokojnym, słodkim snem. - Przed południem jada miód – wtrącił starzec. - Zatem do miodu! – zniecierpliwiła się wiedźma – jeszcze raz mi przerwiesz i odeślę cię z naprawdę pustą torebką! – zagroziła ciągle gniewna. - Przepraszam – wybąkał Przyprawnik.

Czarownica uspokoiła się, policzyła do dziesięciu, poprawiła sobie spinę we włosach, śpiący karlik ziewnął, ukazując małe ząbki. - Jaki uroczy, czyż nie – zagaiła łagodnie i zajęła się głaskaniem ropuch, jakby Przyprawnika w ogóle nie było. Nagle przypomniała sobie o gościu. - O czym to ja mówiłam? – zreflektowała się. Ale nim Przyprawnik zdążył odezwać się, już była sobą. - Pana podróżnika zaprosz na oględziny balonu i sypnij mu całą zawartością woreczka – kontynuowała. - Nie żałuj mu proszku. Woreczek ma być pusty. Następnie weź pompkę i nadmuchaj balon. Zaczekaj, aż słońce skryje się za rogim Bycznych Gór, zabierz tylko naczynie z motylem, popłyn Szmargdową Wodą, trzymając się jednego brzegu, płyn w stronę Białego Miasta. I nie bierz wiosła, rzeka sama cię poniesie, zatrzymaj łódź przy kępie białego pieprzu, otwórz naczynie i delikatnie zawieś motyli kokon na liściu. Jeszcze jedno, musisz dotrzeć tam przed całkowitym zmierzchem, nim w Białym Mieście zapalą kolorowe lampiony. To wszystko – zakończyła wiedźma.

- A podróżnik i jego balon? - zapytał starzec zdziwiony, bo czegoś tu nie rozumiał. - Podróżnikiem się nie przejmuj, on ruszy za tobą, zobaczysz go, tylko nie szcędź mu złotego proszku – dodała czarownica i zauważyła wahanie starca. - No, coś tak zmarkotniał? – zapytała łagodnie. - Róża mi tego nie wybaczy – przyznał starzec. - Więc zrezygnuj, wyrzuć proszek zapomnienia do Szmargdowej Wody i pozwól im odlecieć – poradziła Kozłowa Wiedźma. - A jeśli cię posłucham, co się właściwie stanie z podróżnikiem i motylem? - zagaił Przyprawnik. - Nie uczynię im niechcący krzywdy? – dopytywał się. Wiedźma parsknęła nieprzyjemnym śmiechem. - Jak upuścisz naczynie z motylem, albo pomyłają ci się mięty, to faktycznie zrobisz któremuś krzywdę, ale jeżeli wszystko zrobisz, jak powiedziałam, nikt

na tym nie ucierpi. Zdziała proszek zapomnienia. Pytasz mnie, co się stanie z naszymi zielonymi przybyszami. Odpowiem. Kiedy pierwszy promień słońca ogrzeje liść pieprzowy, złoty kokon pęknie, motyl wydostanie się na zewnątrz, będzie trochę dezorientowany, ale wypoczęty i pewnie głodny, więc po prostu pofrunie hen przed siebie, aż za Białe Miasto, w poszukiwaniu kwiatów, podobnie postąpi podróżnik, polecą za swoim przyjacielem. Obaj zapomną o Róży i dolinie – podsumowała Wiedźma. - A Białowłosa? – przypomniał sobie starzec – Ją też powinienem posypać proszkiem - Nie! - krzyknęła czarownica – Ona musi pamiętać. Jest za delikatna, powinna być twardsza, nic tak nie hartuje serca i duszy jak miłosne rozczarowanie. - Czarownico – przestraszył się nagle starzec – Ale jej blask nie zgaśnie?... może źle robię...pomóż mi... - plątał się. - Pomogłam – twardo odparła wiedźma – I wszystko wyjaśniłam. Decyzja należy do ciebie. A teraz żegnam. - Ale czarownico! – zawołał starzec. Na próżno. Ropuchy poczęły nadymać się i buczeć, nietoperze piszczały przeraźliwie, a czyjeś niewidzialne ręce wyniosły starca z jaskini i umieściły z powrotem w łodzi z takim przytupem, że o mało nie wypuścił sakiewki z proszkiem zapomnienia.

Kiedy dotarł na miejsce, Virid i Białowłosa siedzieli w ogrodzie. Białowłosa prosiła Zielonożółtego, by jeszcze został w dolinie, ale Virid przekonywał ją do podróży, roztaczał wizje fascynujących krain, zapachów nieznanymi miódów. Przypomniał jej, że nawet pszczoły myślały o innych kwiatkach niż pomarańcze. Przyprawnik, niezauważony, ukradkiem podchwycił uśmiech Białowłosej, ale nie było w nim szczęścia, zmącił go lekki cień smutku.

Obrazek ten sprawił, że Przyprawnik postanowił jednak użyć proszku zapomnienia. Najłatwiej poszło mu z Białowłosą, odurzył ją truskawkową miętą dosypaną do miodu i zasnęła machinalnie na tarasie z papuciami w ręce. Z Viridem też nie miał żadnych problemów, dziura została załatwana, a kiedy zielonożółty podróżnik pochylony nad koszem chwalił zręczność Przyprawnika, ten zniechęca posypał go obficie złotawym proszkiem, Virid zasnął momentalnie szczęśliwy przy swoim balonie. Przyprawnik wyjął mu z kieszeni pompkę w kształcie gwizdka i nadmuchał kulę, ta gotowa do lotu niecierpliwie wierciła się, ale Przyprawnik kazał jej czekać. Kiedy włożył pompkę ponownie do kieszeni Virida, podróżnik nie budząc się, ułożył się na dnie kosza niczym w kołysce, wystawały mu tylko nogi obute w papucie z pomponami.

Najgorzej poszło z zielonoskrzydłym motylem, który zaczął podejrzewać nieczyste zamiary Przyprawnika, dlatego starzec zostawił sobie złapanie owada na sam na koniec, czym wiele ryzykował, musiał zachować pożądaną ilość proszku niewyczuwalnego w dotyku, ale ostatecznie całe życie strawił na rzeczach ulotnych, więc podjął ryzyko. Udało się, choć nie od razu. Staruszek nabiegał się i napocił goniąc motyla, ten uciekał co rusz, strzygąc nieufnie czułkami. Zmęczony i zdesperowany Przyprawnik już miał szukać siatki na motyle, wreszcie rozsypał miętę truskawkową po całym domu, myśląc z żalem, że to ostatni zapas, jaki posiada. Pomogło, motyl dał się zwabić do kuchni, tam Przyprawnik posypał go proszkiem, owad zastygł w złoty kokon, starzec delikatnie włożył go do szklanego słoika, zamknął pokrywkę i czekał zachodu

słońca.

Kiedy słońeczko nieświadome swojej roli, skryło się za rogiem Byczych Gór, staruszek wyruszył łódką, mając przy sobie naczynie. Czuł się przy tym jak Złodziej Marzeń. Podniósłszy głowę, odkrył, że ma towarzystwo. Kolorowy balon sunął bezgłośnie nad jego głową, a w koszu wiklinowym spał smacznie podróżnik, po bokach kosza dyndały mu nogi w laczkach podarowanych przez Białowłosą. Pompony zrobione z kulek fioletowego eryngium pogwizdywały radośnie. Widok ten rozśmieszył starca, magia Kozłowej Wiedźmy przekraczająca granicę wyobraźni, czasem przybierała zabawne formy. Łódka płynęła szybko, a stara, znajoma rzeka niosła ich łagodnie i w ciszy, nie planując żadnych niespodzianek. Kiedy dopłynęli na miejsce, starzec zdążył jeszcze zobaczyć zarys krzewów białego pieprzu, otworzył naczynie, zawiesił delikatnie złoty kokon pod liściem i mruknął. - Co złego, to nie ja. Żegnaj. Te same słowa wypowiedział, patrząc w górę. Balon z podróżnikiem zawisł nad pieprzową kępą i lekko kołysał się. Z kosza dochodziło głośnie chrapanie. Kolczaste pompony na pantoflach pogwizdywały wesołą melodię. W Białym Mieście rozbłysły kolorowe lampiony.



ROZDZIAŁ IV

Kamień rozumu i spokoju

Róża przespała całą noc i poranek, budząc się dopiero w południe, z głową ciężącą jej niczym szklana, a może nawet kamienna kula. Cały dom pełen był mdlącego zapachu. - Truskawkowa mięta... – pociągnęła nosem – Tyle woni, jakby ktoś wysypał cały kosz mięty – stęknęła. Musiała wypić dzbanek wody,

by jej głowa zrobiła się lżejsza i wróciła do pionu. Następnie dziewczyna pootwierała okna. Rześkie powietrze przyniosło jej ulgę. Lubiła zapach truskawkowej mięty, ale nie w tak hojnym nadmiarze. Uderzyła ją cisza panująca wokół domu i w ogrodzie. Wyjrzała. Przyprawnik rozkładał na stole zioła, ale Virida nie dojrzała. Zeszła do ogrodu i z bijącym sercem odkryła, że zniknął nie tylko jej zielonozłotawy chłopiec, ale przepadł również motyl i co gorsze magiczna kula. Rozglądała się i szukała ich po obejściu, ale nie znalazła najmniejszego śladu całej trójki, coraz mocniej zdenerwowana ruszyła przed siebie, gotowa iść do brzegów Szmaragdowej Wody, ale Przyprawnik uprzedził jej zamiary. - Nie szukaj ich, oni odeszli, kiedy spałaś – powiedział cicho, że ledwie go usłyszała. Obróciła się gwałtownie, a jej oczy ściemniały gniewnie. (- *Prawie czarne – zauważył starzec*) i jeszcze nie wiedział, czy powinien obawiać się tego spojrzenia.

- Dokąd odeszli?! - krzyknęła – Miałeś z tym coś wspólnego? - rzuciła szybko, ale wyraz twarzy starca powiedział jej wszystko. Jej gniew pękł szybko niczym bańka mydlana. - Kazałeś mu odejść, wysypałeś dom truskawkową miętą, wiedząc, że ten zapach mnie uspi...jak mogłeś? - załkała. Nagle oprzytomniała. - Zaraz, przecież on nie mógł daleko odlecieć, poszukam go! Poza tym powinien przynajmniej pożegnać się! - i puściła się pędem w stronę brzegu. - Rózo! To daremne! Nie znajdziesz go - usiłował gonić ją starzec – On o tobie zapomniał! Posypałem go proszkiem zapomnienia podarowanym mi przez Kozłową Wiedźmę, uspiłem i przeprowadziłem na drugą stronę! Virid jest już daleko, pewnie leci szczęśliwy w stronę innych rzek, krain, nie wiedząc o twoim istnieniu! - wołał w jej kierunku.

- Co? - stanęła jak wryta – Podjąłeś decyzję za mnie! Uparłeś się, żebym została. A moje uczucia nic dla ciebie nie znaczą? Byłam szczęśliwa... – szeptała rozżalona. - I rozdarta – wszedł jej w słowo ojciec - jak gałąź targana przez dwa wiatry. Słyszałem waszą rozmowę w ogrodzie. Nie chciałaś opuszczać doliny, a ja bałem się o ciebie. Jesteś zbyt delikatna, nie poradziłabyś sobie sama... pamiętasz jak o mało nie spaliło cię słońce – tłumaczył. Ale jej wzrok dalej patrzył gniewnie, prawie czarny niczym wygasła lawa. - Pamiętam. I teraz żałuję mojego niezdecydowania. Przez moje wątpliwości jestem słaba. Dobrze słyszałeś, bałam się tego, co nieznane. I powiem ci coś jeszcze – wyrzucała z siebie słowa prędko, że aż brakowało jej tchu – Postanowiłam zostać, choć z bólu pękało mi serce. Zamierzałam powiedzieć Viridowi, że nie mogę zostawić mojego starego, zapracowanego ojca samego, po czym pożegnać się tak, jak żegnają się zakochani. Przynajmniej mógłby mnie odwiedzać od czasu do czasu swoim podróżniczym balonem, może przy okazji przylatywałby do mnie zielonoskrzydły motyl, ale twoja zazdrość sprawiła, że obaj zapomnieli o mnie. Odebrałeś mi ich – zawołała z bólem.

- Rózo, wybacz mi! Chciałem dobrze – prosił starzec, sam cierpiąc. - Uważasz, że jestem słaba, bo można we mnie czytać jak w otwartej księdze, zaraz się przekonasz, co zrobię – krzyknęła i pomknęła w stronę domu. Nim się zorientował, co zamierza, chwyciła nóż, skoczyła między begonie i odcięła

złoto-brązowej róży kwiatowy pęd. Na palcu dziewczyny pojawiła się krew. Płatki kwiatu zabarwiły się czerwienią przy brzegach. Białowłosa upuściła nóż. Wystraszony Przyprawnik podbiegł, przyłożył jej do ręki liść leczniczej babki, ale wyrwała mu dłoń. - Nie chcę cię widzieć! – krzyknęła i zamknęła się w swoim pokoju.



Zdruzgotany starzec poszedł do kuchni, zajął się mieszaniem przypraw, ale ręce mu drżały, a zioła same rozsypywały w rękach, nie potrafił umieszczać żadnej przyprawy, wreszcie ogarnięty rozpaczą zaczął rzucać naczyniami i łyżkami po kuchni, sypać dookoła kolorowymi proszkami, aż udręczony i zmęczony padł na podłogę, nakrywszy sobie głowę dłońmi. W kuchni panował straszliwy chaos, jakby malarz potrzaskał pędzle wraz z paletą swoich farb i nie miał pojęcia, czym ukoić swój smutek.

Przyprawnik wyczuł delikatny ruch w drzwiach. Białowłosa stała w progu z imbrykiem herbaty i szklankami. Jej spojrzenie zjaśniało, teraz miało kolor pistacjowych orzechów, Przyprawnik popatrzył na nią zawstydzony. Kiedy dziewczyna spojrzała na kuchenny bałagan, przyprawy rozsypane po podłodze, jej wzrok złagodniał. - Napij się herbaty. Zaparzyłam szałwii, twojej ulubionej. Postawiła naczynia na stoliku, pomogła podnieść się starcowi i usadziła go na miękkim stołku. - Posprzątam – dodała. - Bardzo cię boli? - zapytał z troską. - Pytasz o dłoń czy serce? - odparła. - Jedno i drugie – podkreślił. - Na dłoni mam tylko powierzchowne skaleczenie, które już nie krwawi, podobnie jak róża...Serce oberwało mocniej...ale przeżyję. Ty cierpisz bardziej – zauważyła ze smutkiem - potłukłeś wszystkie miseczki, a nigdy żadnej nie uszkodziłeś. - Słoiki czy miski, to tylko rzeczy. Liczą się uczucia, o czym nie pomyślałem – przyznał - przepraszam, źle postąpiłem, jestem stary i głupi. Usiłował nalać sobie herbaty, ale ciągle trzęsły mu się ręce. Białowłosa wyręczyła go, podając tulipanka. - Napij się, ręce same się uspokoją. Pokręcił siwą głową. - Nie mogę mieszać przypraw - poskarżył się. Popatrzył na swoje drżące dłonie i poczuł się bezradny jak małe dziecko. Białowłosa uklękła przy nim. - Wypij herbatę,

odpocznij. Ręce przestaną drżeć – przekonywała. Usiadła na drugim stołeczku, wzięła tulipanka i zaśpiewała pieśń o poranku cichym, spokojnym, o liściach bezszelestnie spadających z gałęzi, płatkach kwiatów lecących na ziemię, zmieniających ją w kolorowy dywan. Starzec wypiwszy herbatę, poczuł się trochę lepiej. Kiedy Białowłosa zajęła się sprzątaniem kuchni, zajrzał do ogrodu, w kącie między begoniami. Kwiat złotawo-brązowej rośliny rzeczywiście odzyskał dawny kolor, ale osypywał się płatkami. Wzdrygnął się.

(- *Co się stanie, gdy zabraknie płatków – zatroskał się*). - Ona tylko przekwita, jak inne róże, nic jej nie będzie. Płatki, którym pisane opaść, po prostu spadną, ale kwiat i łodyga zostaną – zapewniła go stojąca za nim Białowłosa, podnosząc złotawą zgubę. Nawet nie zauważył, kiedy przyszła, robiąc sobie przerwę w porządkach. Była trochę bledsza niż zazwyczaj, ale nie wyglądała źle. Kwiat pokrywał się drobnymi, słonymi kropelkami niczym łzami, ale Białowłosa, choć spojrzenie jej przygasił smutek, nie uroniła ani jednej łzy, za to starzec, patrząc na obydwie – dziewczynę i kwiat, o mało nie rozpląkał się jak małe, skarcone dziecko.



Jesienne perturbacje nadwątlily siły Przyprawnika, częściej niż zazwyczaj podrzemywał w domu albo na tarasie. Większość domowych obowiązków przejęła Białowłosa. Nie brakowało jej energii, ale nie opuszczał ją również smutek, nie potrafiła zapomnieć zielonozłotawego przybysza, choć się starała, niestety jej nie posypano proszkiem zapomnienia.

Róża posadzona między begoniami przez siedem dni płakała drobnymi łzami i gubiła płatki. Po tygodniu przestała płakać i sypać płatkami, ale nie wypuściła już nowych pędów kwiatowych. Przyprawnik napoił ją podwójną łyżką syropu z morwy, w tajemnicy przed Białowłosą, ale syrop nie pomógł.

W dolinie poczęły gromadzić się stadami jaskółki, przed zimą zmierzały one do innych, jeszcze gorętszych miejsc. Białowłosa, widząc ich manewry, postanowiła je poprosić o odnalezienie podróżnika i przekazanie mu wiadomości – pieśni o niemożności zapomnienia. Wyszła na brzeg rzeki, by zaśpiewać pieśń, jaskółki miały ją usłyszeć i wziąć ze sobą, ale dziewczyna spoglądając na rogi Byczych Gór, otulone delikatnymi chmurami, przypomniała sobie Kozłową Wiedźmę. Powzięła zamiar odwiedzenia strasznej czarownicy.



Przyprawnik podrzemywał na swojej ulubionej leżance, stamtąd dochodziło jego ciężkie pochrapywanie. Róża uśmiechnęła się, przykryła starca narzutą, pocałowała w czoło i ruszyła do rzeki. Wzięła ze sobą tylko papucie uszyte niedawno dla dziewczyny, której mimowolnie zabrała marzenie. Pantofle miały barwę deszczowych dni przeglądających się w zwierciadle Szmaragdowej Wody, Róża ozdobiła je dodatkowo czerwonymi kwiatami hibiskusa. Dziewczyna nie popłynęła łódką, jej młodzieńcza niecierpliwość wybrała krótszą drogę przez chwiejny, wąski mostek wciśnięty pomiędzy skały, jaskółki towarzyszyły Białowłosej przez pewien czas, zdziwione i zaciekawione, dokąd zmierza i dlaczego nagle zrezygnowała z pieśni, którą przecież obiecały zabrać ze sobą.

Droga przez mostek nie była szczególnie uciążliwa, choć kładka niebezpiecznie chybotąca pod stopami, za to rolę barierek pełniły porowate, twarde skały, ale Róża nie skorzystała z ich pomocy ani razu. Szła szybko, prawie biegła.

Kiedy znalazła się pod Pękniętą Skałą, uderzyła ją głucha cisza tego miejsca. Jesień rozgościła się i tutaj. Wędrujące Źródła podrzemywały przyozdobione pływającymi liśćmi, a dziewczyna miała wrażenie, że słyszy lekko świszczący oddech uspionej wody. Czarny kozioł o szarym spojrzeniu nie pojawił się w

największym otworze skały, zniknęły jaskółki, nie wyleciały nietoperze, może nikt się nie spodziewał gościa o tej porze.

- Kozłowa Wiedźmo! - zawołała Białowłosa w stronę czarnego otworu, ale odpowiedziało jej echo ciszy. Powtórzyła wołanie. Znowu cisza. Dziewczyna wzięła rozmach i cisnęła papuciem w otwór. Pantofel zniknął. Cisza. Już miała rzucić drugim, ale rozmyśliła się. Przyjrzała się Pękniętej Skale. Miała porowatą powierzchnię, pociętą wgłębieniami węższymi i szerszymi na kształt szlaczków, a może i drózek, którymi chadzają kozice górskie. Róża zebrawszy się na odwagę, choć nogi i ręce miała jak z galarety, poczęła wspinać po skale, starając się nie patrzeć w dół. Ale posuwanie się na zbyt miękkim nogach szło jej opornie, przeszkadzał pantofel przyniesiony jako prezent...wtem noga zaczęła się ślizgać w dół, ręka nie znalazła oparcia, dziewczyna odruchowo zamknęła oczy, sądząc, że już po niej... zaraz zsunie się do wody, aż chlupnie... ze zdumieniem, odkryła, że jednak stoi na stabilnym i twardym podłożu.



Znajdowała się w jasnej komnacie, o białych fantazyjnie rzeźbionych kolumnach, ścianach jak pofalowana rzeka. Było to wewnątrz żółto oświetlonej jaskini. Pośrodku marmurowej posadzki bulgotało źródło mieniące się różowym blaskiem. Na ławie obok źródła, pod snopem światła, siedziała staruszka, pomimo skromnego, ciemnego stroju, wyglądała bardzo dostojnie, miała włosy zaplecione w siwy warkocz, na szyi kolia z błękitnych kamieni. Staruszka cerowała skarpety, na widok Białowłosej podniosła wzrok, z niebieskich oczu bił spokój i mądrość. - Witaj – odrzekła przyjaźnie. Obok niej leżał pantofel rzucony przez dziewczynę. - Czy to nie twoja zguba? O mało nie dostałam nim w głowę. Na szczęście jest miękki – dodała z lekkim wyrzutem. - Przepraszam – dziewczyna wyciągnęła w jej stronę drugi papuc. – Przyniosłam je w prezencie. Rzuciłam jednym, bo chciałam tylko sprawdzić, czy ktoś mieszka w otworze skały, było tak pusto i cicho... - Jak na cmentarzu – uśmiechnęła się staruszka - Tu zawsze tak bywa o tej porze, kiedy nie miewamy gości – dodała – Ale mnie to nie przeszkadza. Gospodyni odłożyła robótkę i wzięła pantofle. - Piękna robota, ale chyba nie uszyłaś ich z myślą o mnie? – mrugnęła porozumiewawczo. - Nie – przyznała Róża – ale daję je

właśnie tobie... jako dar, weź proszę. - Skoro mi dajesz taką piękną rzecz, oczekujesz czegoś w zamian. Ale ty nie musisz o nic prosić. Sama jesteś darem – uśmiechnęła się kobieta i przymierzyła pantofle. - Pasują idealnie. Będzie mi ciepło w stopy. Wiesz, tu panuje taki chłód...od kamieni i marzną mi nogi, poza tym starość też robi swoje – dotknęła płatków kwiatowych na pantoflach - Lubię czerwone kwiaty, a tak rzadko mam okazję je oglądać – rozmarzyła się dama, poprawiając papucie. Tymczasem Róża patrzyła z coraz większą ciekawością na jej postać, pozbywając się resztek strachu, nie tak wyobrażała sobie Kozłową Wiedźmę. Starsza pani, pomimo zmarszczek, miała delikatne i regularne rysy twarzy. (- *W młodości musiała być piękna – zauważyła Białowłosa – nadal jest...*) Kozłowa Wiedźma podchwyciła jej spojrzenie. - Usiądź obok mnie, lepiej mi się wtedy przyjrzyj – zażartowała i gestem wskazała jej miejsce koło siebie. Białowłosa usiadła zmieszana. - Przyprawnik mówił mi, że jesteś mała, pokraczna, brzydka i groźna... – niedokończyła, obawiając się, czy nie pozwala sobie na zbyt wiele. Ale czarownica wcale się nie obraziła.

- Mogę cię zapewnić, że to moja prawdziwa fizjonomia. Lubię przebieranki. Poza tym, trzeba ćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy. A dlaczego udaję pokraczną i brzydka?...Ludzie boją się brzydoty i odruchowo czują przed nią respekt. Wtedy są gotowi na wszystko! – zaśmiała się - Weź taką ropuchę, zupełnie łagodne stworzenie, a pokaż mi śmiałka, który zechciałby jej dotknąć, a co dopiero zamieszkać pod jednym dachem – oznajmiła Wiedźma. - No, pokażcie się moje księżniczki! - zawołała w stronę różowego źródła. - Tylko pamiętajcie o manierach. - Lubię ropuchy – odrzekła szczerze Białowłosa. W odpowiedzi na jej słowa ze źródła wyhyńnęło kilka czerwono-brązowych stworzeń, nie były urokliwe, ale zachowywały się przyzwoicie, wszystkie grzecznie podeszły się przywitać. Najbrzydsza umiejscowiła się na kolanach Róży. Dziewczyna pogłaskała ją delikatnie i cmoknęła w łebek, zadowolona ropucha wydała z siebie rodzaj bęknięcia. Róża z czarownicą roześmiały się. Nagle Kozłowa Wiedźma spoważniała. Ropuchy oddaliły się ponownie w stronę źródła. - Spodobał mi się twój prezent – odrzekła czarownica – wiem, że szyłaś te pantofle, przepelniona żalem i poczuciem winy, kiedy twoja róża za ciebie ronila łzy. Pozwól, że odwdzięczę się darem, który przyniesie ci ulgę. Położyła na jej dłoni płaski, błękitnawy kamień. - Sodalit. Mój ulubiony kamień z dna Szmaragdowej Rzeki – wskazała na naszyjnik – błękitny kamień rozumu. Noś go przy sobie ukrytego przed światłem, wyciągnie cały wypełniający cię smutek i zamieni w spokój. Zrozumiesz, dlaczego pewne rzeczy muszą być takimi, jakie są i pogodzisz się z tym – podkreśliła Kozłowa Wiedźma. Róża obracała sodalit w palcach, po czym spojrzała w niebieskie oczy czarownicy. - Zazdroszczę ci Wiedźmo, nie magii, ale otaczającego cię spokoju, otuliłaś się nim jak szczelnym płaszczem i jest ci z tym dobrze. Ja jednak jestem inna, nie przyszłam po spokój lecz po inną rzecz. Uczyniłaś mnie słabą, a ja chcę być silna. Zdejmij więc ze mnie wszystkie moje słabości – poprosiła Białowłosa. Czarownica zamyśliła się. - Nie ma niczego złego w naszych wadach. To czyni nas ludzkim, pozwól sobie na niedoskonałość – zaznaczyła. Ale Róża miała

inne zdanie. - Pragnę być silna, mocne drzewo nie boi się burzy, a ja lękam się nawet ostrzejszego słońca, Muszę być twardsza, ukradziono mi to marzenie, przywróć mi je, proszę – błagała dziewczyna. Kozłowa Wiedźma milczała przez chwilę, po czym gwałtownie podniosła się z ławy, pociągnęła Białowłosą za rękę. - Chodź ze mną - powiedziała krótko.



Gwizdnęła cicho i pojawiły się dwa czarne nietoperze ze świecami. Ściana obok źródła rozerwała się niczym przecięta ostrzem i oczom Białowłosej ukazał się podłużny czarny otwór, nietoperze wleciały tam pierwsze, Czarownica ruszyła za nimi, po czym skinęła na Różę. Otwór wydłużył się w wąskie spiralne schody prowadzące w dół. Obie zaczęły schodzić, droga była kręta, a Białowłosa miała wrażenie, że schody uciekają jej spod nóg, w pewnej chwili zakręciło się jej w głowie, poczuła też krew wypływającą małą kropelką z nosa. Dziewczyna starła ją szybko, ale zachwiała się. Czarownica podtrzymała ją. - To nic – uspokoiła dziewczynę i wzięła pod ramię – Wśród kamieni inaczej oddycha się niż na świeżym powietrzu. Weź głębszy oddech i spójrz w stronę światła, nie patrz pod nogi, one poniosą cię same – tłumaczyła wiedźma. - Potknę się i przewrócę – zaprotestowała dziewczyna. - Zaufaj mi. Będzie dobrze – uspokajała Kozłowa Wiedźma – Wolisz zawrócić? - Nie – szybko odrzekła Róża i przyspieszyła kroku, nie patrząc w dół, tylko w stronę światła. Zastanowiła się, ile jeszcze będą schodzić, ale spiralna droga skończyła się...

Kozłowa Wiedźma kazała zatrzymać się dziewczynie na skalnym podeście. Nietoperze uniosły świece do góry. Białowłosa Róża miała przed oczami wielką komnatę o połyskliwej, czarnej, falującej podłodze. Nietoperze ulokowały się z pochodniami pod sufitem, równie czarnym i rozkołysanym jak podłoga. - Teraz spójrz w dół – rozkazała czarownica. Białowłosa zrozumiała, ujrzała błyszczące czarne zwierciadło wody. Nie miało dna. - To prawdziwe jądro Wędrujących Źródeł. Koniec i początek. Miejsce, gdzie dzień splata się z nocą, dobro ze złem, z ciemności wychodzi światło, ze śmierci życie – podkreśliła Wiedźma. Ten, kto chce odmienić swój los, musi dotknąć samego dna. - Co chcesz mi powiedzieć? – szepnęła Róża, patrząc w czarną bezdenną

toń koloru błyszczącego jadeitu. (- *Oczy Zielonozłotego – pomyślała dziewczyna.*) Kozłowa Wiedźma bacznie ją obserwowała. - Masz odwagę Rózo - zwróciła się do niej – Potrafisz spełnić to, czego pragniesz? By się tak stało, musisz być odważna. Pradawne źródło życia i śmierci nie toleruje ludzkiego strachu, ani cienia zwątpienia – zawyrokowała Czarownica. - Co mam zrobić? – zaszepotała Róza przypatrując się źródłu. (- *A jeśli czerń bezdenne jeziora kryje inne kolory? Zieleń niespotykaną w dolinie... Są jadeity o zielonych barwach - rozważała w głowie.*) Kozłowa Wiedźma tymczasem czytała w jej myślach. - Musisz spaść niczym kamień i dosięgnąć samego dna tajemnicy, by spełniły się twoje pragnienia, ale jeśli poczujesz chociaż jedno ukłucie lęku, zmienisz się w szary muł na dnie Szmaragdowej Wody – przestrzegła Czarownica. - Podobno ma właściwości lecznicze – uśmiechnęła się Białowłosa – Na pewno pomaga na oparzenia – dorzuciła prędko. - Nie opuszcza cię dobry humor – zareagowała wiedźma – To dobrze. Na dno jeziora wolno zejść tylko tym, którzy nie doznają lęku, a źródło wysłucha tylko tych, którzy nie boją się przekroczyć granicy życia i śmierci – zakończyła czarownica. - Czy ktoś odważył się? – zapytała dziewczyna. - Znalazł się śmiałek, buńczuczny i pełen pychy. Zamienił się szary muł – przypomniała sobie kobieta. - Może zabrakło mu pokory? – wtrąciła Białowłosa Róza. - Być może – zgodziła się czarownica – w tym miejscu hardością niewiele się zwojuje.

Róza milczała. Nietoperze zaczęły popiskiwać. - Rózo, nie możemy tu stać wiecznie – ponagliła ją Kozłowa Wiedźma. - Musisz podjąć decyzję, zanim wypalą się świece. Nasi towarzysze sygnalizują, że kończy się światło. Zastanów się szybko, jeszcze możesz zmienić zdanie. Zatrzymaj kamień spokoju i opuśćmy to miejsce - przekonywała Czarownica. Ale dziewczyna zdecydowała - Nie – odrzekła mocnym głosem i oddała sodalit czarownicy – Przekaż go memu ojcu. Chcę być silna jak pień pomarańczowego drzewa – krzyknęła w falującą toń i skoczyła wprost w jej otchłań, zafalowały jej jasne włosy i świetliste ubranie. Plusnęło. Nietoperze trzymające dogasające świece niepewnie spojrzwały po sobie...ale wzrok Kozłowej Wiedźmy pozostał nieprzenikniony.

Przyprawnik obudził się z krzykiem. Śniło mu się, że jego dom pochłania fala rwącej rzeki. Przyszedłszy do siebie, zobaczył, że wierząc się, wylał na ubranie cały dzbanek wody, stojący przy leżance. Przebrawszy się, zobaczył, że minęło południe, poszedł do ogrodu, sądząc, że zastanie tam Białowłosą, ale minąwszy kąt z begoniami, ujrzał, że niezwykły kwiat zniknął. Zostało puste miejsce. Zdjęty trwogą zaczął biegać po domu, nawołując dziewczynę, przetrząsał wszystkie kąty, zajrzał nawet do imbryka po herbacie, kląc własną głupotą, kiedy już miał zaszlochać z rozpaczy, przyleciały dwie jaskółki, przysiadły mu na ramieniu i zdradziły, gdzie udała się dziewczyna.

Przyprawnik pobiegł śladem Róży, ciasnym i chwiejnym mostkiem, objając się o skały, nie zwrócił przy tym uwagi, że chmury tłumnie zaczęły zbierać się nad rogami Byczych Gór. Zdyszany dobiegł do Wędrujących Źródeł odbijających

jedynie głuchą ciszę. - Kozłowa Wiedźmo! - nawoływał, ale odpowiadało mu echo własnego głosu. Przypomniawszy sobie, że w młodości bardzo zwinnie chodził po drzewach niczym wiewiórka, ruszył więc na skałę, ale przeliczył się. Teraz szło mu dużo gorzej, brakowało siły, stękał i posapywał, do tego zgubił bambosze, a może zostawił w domu, kamienie boleśnie wbijały się w pięty, wreszcie począł z wolna zsuwać się po skałę. - Kozłowo Wiedźmo! - krzyczał co tchu – Zaklinam cię, przyjmij mnie, muszę tylko wiedzieć...niczego więcej nie chcę, zresztą nie mam daru! Ulituj się - błagał. Ale kamienie dalej uciekały mu spod rąk i stóp. - To koniec... – pomyślał z rezygnacją.

Zamknął oczy i wtedy poczuł niewidzialną rękę, która mocnym chwytem złapała go za ubranie, podniosła do góry niczym worek ziemniaków i postawiła na twardym podłożu. Znalazł się w innym wnętrzu niż zazwyczaj, w jasnej komnacie o białych pofałdowanych ścianach, fantazyjnie wygiętych kolumnach, oświetlonej kryształowymi lampami. Nie był sam. Pośrodku sali stała postać w czerni, wysoka, starsza dama z siwymi włosami splecionymi w warkocz, w koliai z błękitnych kamieni, o regularnych rysach twarzy i magnetycznym spojrzeniu. Postać jawiła mu się obca, ale wzrok był znajomy. - Kozłowa Wiedźma? - mruknął zdziwiony starzec. - We własnej osobie. Witam cię w moim salonie – odparła mocnym i melodyjnym głosem. - Wyglądasz jakoś inaczej... zazwyczaj - zaczął niepewnie starzec. - Wiem, wiem – przerwała mu Czarownica – mała, pokraczna, brzydka. No cóż, przyjmijmy, że takie przebranie mi odpowiada. Kiedyś byłam dobrą wróżką z zielonego lasu, ale musiałam zmienić mieszkanie i szpetna fizys bardziej pasowała do wiecznie chłodnych kamieni. Nie zawsze możemy wybrać miejsce swego zamieszkania, choć ty nie musiałeś uciekać z własnego domu – wyjaśniła ze spokojem Kozłowa Wiedźma. - A co się stało z twoją wcześniejszą siedzibą? - zainteresował się Przyprawnik. - Lasem? - podchwyciła kobieta - spłonął, a resztę wycieli, schroniłam się między kamienie, są twardsze niż las, choć kamienie też pękają – przyznała. - A gdzie masz swoje żywe spinki? – zagaił, by poczuć się pewniej, z czarownicą nigdy nic było wiadomo, może jest żadna zemsta. Ale wiedźma zachowywała, nieznaną mu dotąd, niewzruszoną obojętność. - Śpią na suficie – oznajmiła, wzięwszy jedną z kryształowych lamp, okrąglą niczym księżyc w pełni, podniosła do góry. Faktycznie, sufit komnaty upstrzony był czarnymi kulkami-karlikami. - Polubiłam wszystkie te mroczne stworzenia – dodała czarownica, postawiwszy lampę na kolumie. - Gdzie jest Białowłosa Róża? – rzucił gwałtownie Przyprawnik. - Odeszła. Szukała odpowiedzi na swoje niepokoje w jądrze Wędrujących Źródeł i chyba ją znalazła – odrzekła spokojnie Kozłowa Wiedźma. - Dlaczego jej pozwoliłaś? – wybuchnął starzec. - Bo to ja ją stworzyłam. Postanowiła zmienić swój los i przekonała mnie – wyjaśniła dobrotliwie czarodziejka. - A gdybym cię poprosił, żeby Róża wróciła. Zrobisz to? – zapytał Przyprawnik. - Nie mogę spełnić twojej prośby, nie podarowałam ci jej na wieczność, poza tym Róża ma swój własny los – oznajmiła z powagą czarownica. - Pomyślałyście o mnie? Mam wrócić do samotności? Nie zniosę jej...Odzwyczajam się - odezwał się starzec łamliwym głosem – Chyba już wolałbym umrzeć! Ale czarownica obruszyła się.

- Nie w moim domu – odparła stanowczo i skarciła go. - Bredzisz jak małe dziecko. Weź się w garść. Pomyślałam o tobie – pocieszyła go na koniec i pstryknęła palcami. Na suficie komnaty zrobiła się ciemniejsza plama podobna do skrzydeł nietoperza, po czym plama przerodziła się w otwór, z którego wyfrunęła kryształowa czarka w kształcie tulipana, zatoczyła zgrabne koło na głowę Kozłowej Wiedźmy i wysypała starcowi na dłoń nasionko, po czym zawisła w powietrzu nad lampami.

Ale Przyprawnik biorąc je oburzył się. - Co to ma być?! – podniósł głos - Przecież to nasiono róży, kolejna córka!? Oszalałaś wiedźmo czy kpisz ze mnie?! - zaperzył się. O dziwo, czarownica przyjrzała mu się z rozbawieniem, a nawet ujęła się pod boki. - Patrzcie go, jaki mądrała – szydziła, by za chwilę przemówić surowszym głosem. - Nie dość, że cię przyjąłem, rezygnując po raz wtóry ze zwyczajowego daru, pokazuję ci się w faktycznej postaci, rozmawiam z tobą jak z równym, pocieszam niczym bezbronного malca, a ty do mnie z pretensjami? Ciesz się, dziadu, że cię nie wykąpałam w źródłach, kiedy bezradnie czepiałeś się mojej skały. Niewdzięcznik – zezłościła się kobieta. Przyprawnik pomiarkował, że pochopnie ocenił wiedźmę, zrobiło mu się nieswojo, ostatnia rzecz, jaką sobie życzył, to złość czarownicy. - Nie gniewaj się – pośpieszył z przeprosinami. - Zrozum mnie, Białowłosa... Ale wiedźma przerwała mu prędko. - Nie tłumacz się. To rzeczywiście nasionko róży, ale ma inne magiczne zdolności. Kryje się w nim kwiat niepotrzebnych dni. - Nie rozumiem – przyznał Przyprawnik. - Zaraz wszystko zrozumiesz, jeśli mnie cierpliwie wysłuchasz – objaśniła czarodziejka.

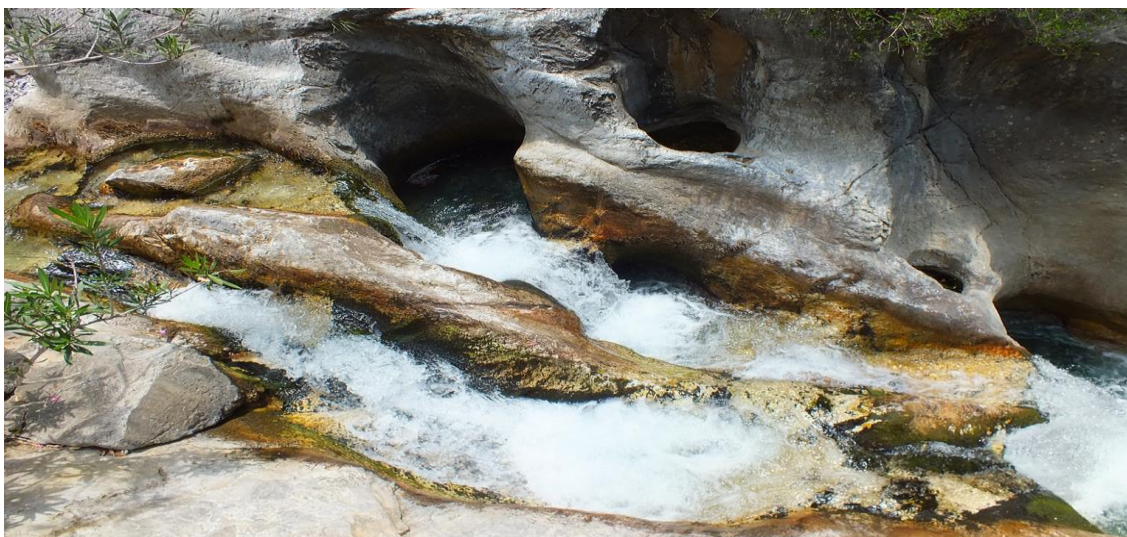
- Posiejesz nasionko w tym samym miejscu, gdzie zasiałeś poprzednią różę, ale poczekasz, aż zasłona chmur przybyłych z nad Byczych Gór zakryje całe niebo szczelnie i uwięzi księżyc. To się stanie jeszcze tego wieczoru. Podlejesz nasionko wodą zaczerpniętą ze Szmaragdowej Rzeki oraz wodą z baryłki trzymanej na dachu domu, po czym pójdziesz spać. - A rankiem zaparzę sobie herbatę w podarowanym przez ciebie czajniku... tylko z kim ją wypiję? – wtrącił szyderczo starzec, bo zaczynał mieć dość pomysłów i gierki wiedźmy, ale zamilkł, bo kobieta przeszła go gniewnym spojrzeniem. - Herbatą możesz poczęstować swoje koty, dziwne, że nie nauczyłeś ich dotąd pić z tulipanków – zakpiła. Jednak starzec milczał smutno, co zniechęciło ją do żartów. - Mogę kontynuować? - zapytała uprzejmie. Skinął głową. - Rankiem, po przebudzeniu się, skoro świt, wróc w to miejsce. Ujrysz różę niepotrzebnych dni – kwiat o fioletowych płatkach, zerwij największy jej płatek i powąchaj z zamkniętymi oczami. - Co się stanie? – nie wytrzymał starzec. - Kwiat niepotrzebnych dni zamyka w sobie chwile, których nie chcieliśmy przeżyć, bo nas rozczarowały, sprawiły ból, przyniosły wstyd bądź strach. Kwiat niepotrzebnych dni jest niczym kuferek z dawnymi rzeczami, z jedną małą różnicą, nigdy się nie otworzy i nie ma do niego klucza. Fioletowa róża sprawi, że wąchając jej płatek, zapomnisz o wszystkim, co przeżyłeś od momentu, kiedy zaparzyłeś sobie ostatni raz herbatę w swoim wysłużonym imbryku. Czas cofnie się. Nie urwało ci się ucho od dzbanka, nie wyprawileś się do Wędrujących Źródeł, nie otrzymałeś magicznego nasionka. Kwiat

niepotrzebnych dni ukryje wszystkie te chwile. Twoje życie popłynie jak dawniej, nic nagłego nie wydarzyło się i już się nie zdarzy, ochroni cię przed tym fioletowa róża zapachem swoich kwiatów, będziesz je wąchał codziennie, a twoje dni przemkną ustalonym rytmem – wyłuszczyła czarownica. - Teraz rozumiem – przytaknął Przyprawnik. - Nie przyjmę daru, nie chcę o zapomnieć mojej córce, o żadnej chwili z nią spędzonej – zdecydował. - Wobec tego czeka cię cierpienie – zapowiedziała Czarownica. - Trudno. A czyż nie jest ono częścią przyprawy życia? - zauważył refleksyjnie starzec – Może czas złagodzi mój ból, ale nie pozwolę mu, by usunął Białowłosą z mojej pamięci – oświadczył. W odpowiedzi Kozłowa Dama rozłożyła ręce. Na jej znak kryształowa czarka przyfrunęła bliżej. Starzec wrzucił do niej nasionko. - W takim razie odejdz, bo innej rady nie mam – pożegnała go Kozłowa Wiedźma. Czarka rozpląnęła się, a kryształowe lampy jedna po drugiej zaczęły przygasać.



Starzec zamierzał coś dodać, ale zrezygnowany machnął ręką, odwrócił się plecami w stronę otworu, jednak nim uczynił krok naprzód, czyjaś niewidzialna ręka wyniosła go z wnętrza jaskini i postawiła delikatnie na mostku. Przyprawnik spojrzał w niebo, kłębowiska chmur zasłoniły całkiem Bycze Góry. - *Ciekawe, czy ich ostre rogi przebiją chmurowe zastony – zamyślił się.* Spojrzał w dół, Wędrujące Źródła wcale nie drzemały, wierciły się niespokojnie. Wówczas oświeciła go pewna myśl...zaraz, o czym to wspomniała czarownica, że Białowłosa Róża w źródlanej toni szukała odpowiedzi na nurtujące ją pytania, więc dziewczyna musiała zejść z mostku po schodach...w dół... do tych oślizłych węży... Niewiele myśląc, skoczył w głąb Wędrujących Źródeł. Dobiegło go jeszcze wołanie czarownicy. - *Głupcze! Co wyrabiasz!? Utopisz się! Pomyliłeś się! Niczego nie rozumiesz.* Ale starzec już nurkował w mętnej wodzie, znalazł się między przezroczystymi, wijącymi się palcami, jednakże węzowe paluchy nie wciągnęły go głębiej, nawet nie zdążył nabrać wody w usta i stracić oddechu,

kiedy palce Źródeł capnęły w pól i wyrzuciły na mostek. Przyprawnik miał wrażenie, że z głębi wody dobiegł ich złośliwy chichot. Wściekły pogroził im pięścią. Spojrzał w górę. Czarny kozioł patrzył na niego z politowaniem. Wtem nad Byczymi Górami rozległ się grzmot jeden, drugi, trzeci. Powiał wiatr, potargał chmury na strzępy, z rogów sypnęły się iskry, a na starca spadła fala zimnego deszczu, przewróciła go, o mało nie spadł z mostku. Odruchowo złapał się krawędzi. (- *Zaleje całą dolinę – zauważył zobojętniały.*) Ale deszcz zmniejszył się do średnich kropeł. Przyprawnik podniósł się z trudem, bosonogi i w mokrym ubraniu, ruszył przed siebie ze zwieszoną głową, czując się bezradnym i żalonym. Przetarł krople deszczu z twarzy i wyczuł znajomą słodycz na wardze. - Morwa – wyszeptał zdumiony. Spróbował kolejnej kropli. - Miód – osłupiał ponownie. (*Kto w dolinie może płakać słodkimi łzami? - pomyślał*). Zatrzymał się, pochylił się niżej nad rzeką i zaczerpnął wody. Miała wyraźnie słodki smak. Deszcz z wolna ustawał. Przyjrzał się wodzie wijącej się między kamieniami. Rzeka zmieniła barwy, mieniła się innymi kolorami niż zazwyczaj, bowiem złotem i brązem – barwami... Białowłosa Róża – wyszeptał Przyprawnik. Przysiadł poruszony na krawędzi mokrego od deszczu mostku i zapłakał się, ale nie były to gorzkie łzy. Słodkie krople deszczu zrosiły mu delikatnie twarz i wyplukwały cały nagromadzony w nim żal, lęk i smutek, a serce napełniły błogością. Wyczuł twardą rzecz w kieszeni ubrania i wyjął z niej błękitny kamień. Sodalit - kamień rozumu i spokoju – podarowany mu przez Kozłową Wiedźmę i Białowłosą Różę. Na Pękniętej Skale zamajaczyła mu sylwetka czarnego kozła o niebieskim spojrzeniu. Starzec patrzył na fale jasne niczym pierzaste liście palm, błyszczące pośrodku ciemnym bursztynem, czarne przy brzegach jak oprawa oczu jego córki i wiedział już, z jakich barw winien utkać najnowszy jedwabny szal.



KONIEC

Anna Polewiak